ŚWIAT DZIEWCZĄT

№ 4



40 GR

DNIA 1 LUTEGO 1933 ROKU

Rok I. Warszawa, dnia 1 lutego 1933 r. Nr. 4

Świat Dziewcząt

WYCHODZI 1-go 10-go i 20-go KAŻDEGO MIESIĄCA



DROGIE CZYTELNICZKI!

Jesteście naszemi przyjaciółkami, czy nie? Jeśli tak — prosimy o czynne dowody przyjaźni! Z pustych słów nic jeszcze nigdy nie wynikło. A więc: Prosimy o nadsyłanie zdjęć z waszego życia w najrozmaitszych jego okolicznościach. (Czy nie przyjemnie będzie zobaczyć je w piśmie?) Pozatem oznajmiamy wam miłą wiadomość, że możecie ze sobą korespondować na łamach „Świata Dziewcząt". Nawiąże się tu przypuszczalnie dużo sympatycznych znajomości. Dalej — pomóżcie swojemu pismu w docieraniu do najdalszych zakątków kraju. Niech każda, choćby przygodna czytelniczka, stanie się niezwłocznie jego stałą prenumeratorką — ułatwi to nam bardzo dalszą wspólną pracę — a wam to wypadnie jeszcze taniej, niż przy kupowaniu poszczególnych numerów. Nie chowajcie też swego „Świata Dziewcząt" w głębi szuflad i teczek, tylko pokazujcie go wszystkim znajomym i zachęcajcie ich do prenumeraty.

I — piszcie jaknajczęściej o wszystkiem!

WASZA REDAKCJA.

PIERWSZY KROK

Co oznacza tytuł artykułu? O jakim pierwszym kroku mowa? Czy już uczyniłyśmy ten krok w życiu?..

Nie wiem — i to Wy odpowiecie mi raczej na te pytania, niż ja Wam. Wiem tylko tyle, że żyjecie już wszystkie życiem nietylko indywidulnem, ale i gromadnem. Nadszedł taki dzień, gdy mały brzdąc, jakim wówczas była każda z Was, został ubrany w mundurek i czarny fartuszek, a Mamusia rzekła mu poważnie, całując w czoło:

— No, moje dziecko, już idziesz między ludzi!

Dziewczynka znalazła się w klasie między innemi takiemi samemi dziewczynkami w czarnych fartuszkach, czyli pierwszy raz stała się członkinią jakiegoś małego społeczeństwa. Narazie nie zdawała sobie sprawy ze zmian, jakie zaszły, ale wkrótce zaczęła dostrzegać, że oprócz swego życia osobistego ma jeszcze doznania gromadne, że reaguje na wiele kwestyj podobnie jak cała klasa... Boi się tej suchej i wysokiej „pani od polskiego", a ten mały i gruby „pan od rachunków" wydaje jej się bardzo dziwny, ale i miły zarazem.

Minie jednak sporo lat, zanim poczuje się o tyle zrośnięta z gromadą, że zacznie się o jej sprawy troszczyć. Jedna uczyni to wcześniej, druga później — znajdą się takie, które całe życie spędzą jakoby poza społeczeństwem, oddane swoim własnym troskom i radościom. Większość uczyni swój pierwszy krok na terenie pracy społecznej już w wieku szkolnym.

Co go spowoduje?

Często — jakiś drobny fakt, a nawet przypadek.

Wśród kilku okien w trzeciej klasie pewnego gimnazjum jedno było dziwnie nieszczęśliwe. Coraz ktoś wybijał w niem dużą szybę, więc często wyglądało, jak kaleka. Kiedyś zdarzyło się to dzień po dniu. Po wprawieniu nowej szyby, gdy w klasie pachniał jeszcze świeży kit, jedna z dziewczynek podeszła bliżej i zaczęła go dotykać palcami. Bawiło ją to: przy mocniejszem przyciśnięciu zwierzchniej, ledwie przyschniętej skorupy palce zapadły się w tłusty miękisz.

Dwie koleżanki przebiegały obok i naraz — czyto przypadkiem, czy umyślnie — jedna drugą pchnęła na bawiącą się. Pchnięcie było silne... Brzęk stłuczonej szyby wewnętrznej i zewnętrznej i po klasie wionął strumień zimnego powietrza... Wszystko to działo się w oczach Maryli, siedzącej podczas pauzy na ostatniej ławce.

Wychowawczyni miała już dość tych nieszczęśliwych wypadków i oświadczyła kategorycznie, że za szybę musi zapłacić ta, która ją wybiła. Ale kto? Czy ta, która stała przy oknie, czy rozdokazywane? Przypadek chciał, że jedna z rozdokazywanych należała do dziewcząt wymownych, dowcipnych, wiecznie roześmianych — słowem takich, które budzą ogólną sympatję w klasie, podczas gdy bezpośrednia sprawczyni nieszczęścia była typem dziecka ponurego i samotnego. Rezultat łatwy do przewidzenia — płaci sprawczyni... Jeszcze ktoś oponuje, nie zgadza się, dzwonek wszystko przerywa. Dowcipna dziewczynka, idąc na miejsce, zmrużyła filuternie oko i spojrzała porozumiewawczo na swą towarzyszkę.

To ją zdradziło. Maryla przypomniała sobie, że podobny, ale dużo mniej wyraźny, grymas, uczyniła już dowcipnisia przed samem fatalnem przebiegnięciem koło bawiącej się kitem.

— Ona umyślnie!.. To niesprawiedliwe!.. — myślała Maryla w ciągu całej lekcji.

Po dzwonku podzieliła się spostrzeżeniem — z koleżankami. Dyskusja, gwałt, podniesione głowy, obrona ulubienicy. Maryla obstaje przy swojem.

— Nigdy się nie zgodzę, by Zosia płaciła. Chcecie Oli bronić, to płaćmy wszystkie.

Choć były znaczne sprzeciwy, Maryla zwyciężyła. *Zorganizowała* składkę i koszty wprawienia szyby pokryła cała klasa solidarnie.

Trzecioklasistka uczyniła już swój pierwszy krok w życiu społecznem.

Czem został on spowodowany?

Oczywiście współczuciem dla pokrzywdzonej. Współczucie bowiem i zrozumienie cudzych cierpień, lub krzywd i niesprawiedliwości jest jedną z najgłówniejszych pobudek działalności społecznej.

Gdyby usunąć z serc ludzkich te uczucia, sprawdziłoby się w całej rozciągłości powiedzenie jednego z wielkich pesymistów, że człowiek dla człowieka jest wilkiem. W rezultacie społeczeństwo rozpadłoby się i cofnęlibyśmy się do czasów, gdy ludzkość stanowiła niezorganizowaną hordę.

Wróćmy jednak do zdarzenia w klasie trzeciej. Gdyby Maryla poprzestała tylko na biernem współczuciu, świadczyłoby to o jej dobrem sercu — napewno zaskarbiłaby sobie wdzięczność Zosi, lecz czynu społecznego nie dokonałaby żadnego. Czynem jej było bezsprzecznie tylko jedno: zorganizowanie składki. Fundamentem bowiem już nietylko wszelkich poczynań społecznych, ale wprost istnienia społeczeństwa jest organizacja.

Zatrzymajmy się z kolei kilka chwil nad tem ostatniem pojęciem.

Często słyszymy takie zdanie:

— Cała impreza była źle zorganizowana.

Gdy takie słowa zabrzmią nam w uszach, wyobrażamy sobie, że przedsięwzięciem nie miał kto kierować, że tłum ludzi napróżno czekał na rozkazy czy hasła, że wydawano sprzeczne rozporządzenia, których nie słuchano i że wreszcie wszyscy rozeszli się do domów, narzekając i ponsiując.

Przeciwny obraz wzbudzi w nas powiedzenie:

— Organizacja była świetna.

Widzimy odrazu jakiegoś człowieka obdarzonego wolą, wiedzącego, do czego dąży — wydającego rozporządzenia krótko i zwięźle. Podwładni spełniają je natychmiast i bez szemrania, wszystko idzie jak w dobrze zmontowanej maszynie. Poszczególne kółeczka spaja w jedną całość karność i poczucie odpowiedzialności. Niech tylko jedno z kółeczek nie dopisze, a odrazu cała machina zaczyna się psuć, zgrzytać i klekotać.

Wśród ciemnej nocy zimowej mknie pociąg. Jadę w przedostatnim wagonie. Droga mi się dłuży. Od czasu do czasu podchodzę do okna i patrzę w noc. Nic ciekawego: majaczą białe pola. Czasem przemykają widma białych drzewin. Spuszczam głowę i oto dostrzegam dziwną rzecz. W końcu wagonu wyskakuje czasem jakiś ognisty refleks i miga czerwonem światłem na śniegu. Wysiadam na małej stacyjce. Smok pociągu — oszroniały z soplami lodu — sapie, syczy i paruje. Oś wagonu, którym jechałem, rozgrzana do czerwoności. Przy wagonie obsługa pociągu i naczelnik stacji. Naradzają się. Słyszę głos naczelnika:

— A... będę tam wekslował, odczepiał?.. Jeszcze dojdzie! Jazda... Gwizdki, wyfuk pary i stukot pociągu na szynach. Zaczyna mknąć wśród nocy. Ale im bardziej się rozpędza, tem jaskrawiej i silniej czerwieni się nagrzana oś. Buchają już jęzory ognia niemal płomieniem.

Zawiadowca stacji wpada do kancelarji i dzwoni do następnej stacji. Niestety, spóźnił się! Katastrofa nie pociągnęła wprawdzie ofiar, lecz wywołała zamieszanie w ruchu pociągów na czas dłuższy. Sprawił to wszystko brak poczucia odpowiedzialności i lekkie potraktowanie swych obowiązków. To poczucie, oraz karność stanowią filary wszelkiej organizacji.

Nie każdego natura obdarzyła jednakowemi zdolnościami organizacyjnemi. Są nawet ludzie zupełnie ich pozbawieni. Natomiast karność i poważny stosunek do swych obowiązków możemy w sobie wszyscy wyrobić.

Przed Wami jest całe życie i cały ogrom pracy społecznej. Czy zastanawiałyście się nad swemi zdolnościami społecznemi? Czy uczyniłyście już pierwszy krok na tem polu? Zastanówcie się. Redakcja przyjdzie Wam z pomocą w tym „rachunku sumienia", rozpisując zczasem na ten temat ankietę.

W pracy społecznej czekają Was przykrości i niespodzianki. Może już spotkałyście się z jednem niemiłem uczuciem t. j. z pewnego rodzaju rozczarowaniem. Pali się Wam w głowach praca na wielką skalę, może nawet obmyślacie w cichości lub gwarze program zbawienia świata, a tymczasem każą Wam tkwić w sklepiku uczniowskim i sprzedawać zeszyty. Z tej dysproporcji między marzeniami a rzeczywistością płynie pewnego rodzaju przygnębienie i jakaś rozterka wewnętrzna. Może ona doprowadzić do tego, że albo porzucicie tę codzienną, żmudną pracę społeczną, oddając się daleko sięgającym, lecz w gruncie rzeczy bezpłodnym marzeniom, albo zaczniecie wykonywać ją niedbale i bez przekonania.

Niesłusznie! Nie marzyciele i „zbawcy świata" we własnych oczach zrobili najwięcej dla ulżenia cierpień, lecz tacy, którzy, żywo reagując na ból i krzywdę człowieka, uważali, że idą za głosem zwykłego obowiązku.

J. Waśniewski.

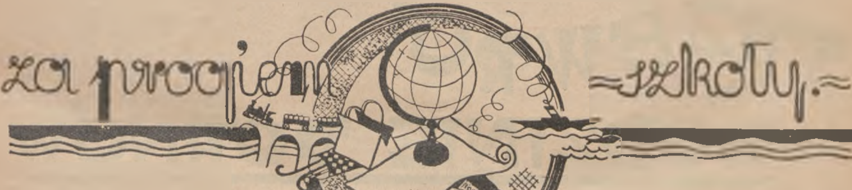
I-szy luty to dzień

Imienin Pana Prezydenta

W dniu dzisiejszym uczcijmy zjednoczonym głosem młodych serc dzień Patrona pierwszego Obywatela Polski. Niech cała młodzież nasza, nietylko wybrani do udziału w delegacjach, w dniu tym głęboko zastanowi się nad ofiarną i ciężką pracą wielkiego uczonego i wysokiej wartości Człowieka, który od siedmiu lat tak godnie sprawuje swój odpowiedzialny urząd i ponosi trud Kierownika naszego Państwa. Tembardziej, że godność ta ukoronowała żywot pełen wyrzeczeń i mozolnej podziemnej pracy dla darowania nam, młodym, Niepodległej Ojczyzny.

Pomyślmy więc dziś ciepło i serdecznie o dniach Jego, pełnych trosk, oddanych bez zastrzeżeń polepszeniu i podniesieniu naszego życia.

REDAKCJA.



Mała Elżbietka.

Największem jej zmartwieniem było to właśnie, że nie urosła większa! Nadrabiała więc miną, jak mogła i „rządziła" się okropnie, tak że starsze i o wiele większe od Elżbietki koleżanki słuchały pokornie jej poleceń, przyznając zresztą w głębi duszy, że były zazwyczaj słuszne. Nie należy przy tem broń Boże przypuszczać, że mała Elżbietka była jakąś jędzą, która terorem zapewniała sobie posłuch. Nic podobnego! Elżbietka była to milutka, okrągła blondyneczka, bardzo wesoła i pogodna, lubiana przez koleżanki i nauczycielki, i najzupełniej łagodna. Tak łagodna, że probowano ją nawet nazwać landrynką, dopóki nie okazało się, że landrynka potrafi być niesłychanie stanowcza i wcale nie słodka.

Tę stanowczość przejawiła Elżbietka w chwili, kiedy pewnego dnia klasa, radząca nad prezentem imieninowym dla przełożonej zamieniła się nagle w rodzaj jarmarku, podczas którego każdy mówił na swoją rękę, nie słuchając zupełnie, co mówi kto inny. Wysunięto 1500 projektów, okazało, że żaden się nie nadawał i właśnie debatowano 1501, gdy na katedrę wtoczyła się jak kula mała Elżbietka (na domiar nieszczęścia była sobie grubiutka!) i odrazu ujęła sytuację w swoje ręce: uspokoiła wzburzone umysły, wytłumaczyła wszelkie niedorzeczności, jak np. serwis do czarnej kawy, i podała jeden jedyny rozsądny projekt, jakim była haftowana stora do okna, wypracowana wspólnie przez całą klasę.

A najważniejszem było to, że tak umiała sobie wszystkiemi dać radę wszystko wytłumaczyć i poprowadzić tak, jak jej, Elżbietce wydało się słuszne.

W prędkim czasie te jej zdolności zwróciły uwagę pani wychowawczyni i poczęła się ona Elżbietką potrochu wyręczać, gdy wypadała np. wolna godzina. Elżbietka, z polecenia pani wychowawczyni zasiadała na katedrze i „uciszała" klasę czytając na głos, albo opowiadając coś ciekawego

— Ta mała ma niezwykłe zdolności pedagogiczne — mówiła pani przełożona do wychowawczyni — czy nie wie pani, co ona myśli robić po skończeniu szkoły? Szkoda byłoby marnować takie zdolności.

Nie, wychowawczyni nic nie wiedziała, a gdy zapytała o to Elżbietkę, mała osóbka roztoczyła przed nią tak rozległe horyzonty, że poczciwa panna Anna dostała lekkiego zawrotu głowy. Elżbietka ni mniej ni więcej zapragnęła zostać — profesorem uniwersytetu — drugą Curie-Skłodowską, tylko że w zakresie polonistyki.

— Czy Pani nie zauważyła moich wypracowań polskich — spytała Elżbietka z dumną minką — są doskonałe, a nasze szkolne pismo zawsze drukuje moje artykuły.

— Zauważyłam, zauważyłam — uśmiechnęła się panna Anna — ale czy tylko nie przeceniasz swoich sił?

O, Elżbietka była zupełnie pewna i roztaczała swe czarodziejskie plany przed najwdzięczniejszemi słuchaczkami — to jest przed „małemi" ze wstępnej A i B. „Małe" to była, obok — sławy naukowej — druga pasja Elżbietki. Godzinami umiała się z niemi bawić i rozmawiać, a także była niezastąpionem pogotowiem ratunkowem we wszystkich zasadniczych nieszczęściach: opatrywała skaleczone paluszki i kolanka, pocieszała we wszelkich strapieniach, a często ratowała zagrożone cenzurki, pomagając i ucząc. Tak się w końcu w to wciągnęła, że uważała za swój święty obowiązek pomaganie małym, a potem już trochę większym w lekcjach i zadaniach. Gdy jednak doszła do klasy 7-ej, i widmo matury zaczęło ku niej mrugać jednem krzywem okiem, doszła do wniosku, że nie da rady. Swoje własne lekcje, i tych „małych" kolidowały ze sobą stale, co było robić! Elżbietka łamała sobie głowę, ale wrodzona przedsiębiorczość wzięła górę i pewnego razu, skrzyknąwszy jeszcze kilka koleżanek, stworzyła masowe komplety dla „małych". I tak — Bronka, matematyczka wykładała zawiłe arkana arytmetyki i rozwiązywała zadania na temat przeciekających wieczyście rezerwoarów i nigdy nie mogących się spotkać pociągów; Irka — która od dzieciństwa „parlowała" po francusku, wygładzała chropowatości różnych konjugacyj; Fela, przyrodniczka — opowiadała cudeńka o roślinach, a także z atlasem Romera pod pachę wykładała czarodziejskie historje o czarnych i żółtych ludziach, a Karola — zawołana historyczka — pouczała o zawiłych sprawach rodziny Bolesława Krzywoustego. Elżbietka, sama najważniejsza inicjatorka wzięła na siebie polski i z gramatyką Szobera w ręku przebijała się przez skomplikowany las „cech" i „cech cech". Uważała to za okres przejściowy do swojej przyszłej naukowej sławy, ale mimo woli zasmakowała w tem zajęciu.

— A możebyś została nauczycielką — zapytała Elżbietkę przełożona, w uroczysty dzień rozdawania matur — umiesz ciekawie i jasno wykładać, lubisz dzieci, co więc stoi na przeszkodzie?

Ale Elżbietka upierała się przy swojej karjerze naukowej, i wydębiwszy od rodziców około 200 złotych na zapłacenie całorocznego czesnego na uniwersytecie, wstąpiła na pierwszy szczebel do sławy, na polonistykę, w uniwersytecie warszawskim. Nie szło jej jednak! Zagadnienia naukowe, subtelne i wnikliwe syntezy nie leżały w jej możliwościach, skłaniających raczej ku analizie i rozrabianiu podanego materjału. Jej umysł żywy i twórczy pracował niestrudzenie nad udoskonaleniem metod pracy; ale pomimo to, droga do sławy i doktorstwa ciągle jeszcze była bardzo długa. A tymczasem zawód nauczycielki coraz to wyraźniej rysował się przed zawiedzionemi oczami Elżbietki, i często, biegnąc z jednej korepetycji na drugą, myślała:

— A możeby rzeczywiście machnąć ręką na tę sławę naukową i pomyśleć o belferce.

Nie mogła się jednak zdecydować. Decyzję wywołało w niej zjawisko zewnętrzne, mające zadarty nosek, czarne, błyszczące ślepki i niewyczerpane zapasy energji życiowej: krótko mówiąc — Fela. Spotkały się dwie przyjaciółki przypadkiem na ulicy i w ciągu 5-ciu minut wytrajkotały najważniejsze nowiny. Elżbietka dowiedziała się, że Bronka jest na uniwersytecie w Poznaniu, Irka w Krakowie, Karola w Wilnie, a ona, Fela, we Lwowie; że wszystkie mają zamiar zostać nauczycielkami, tylko Fela i Karola po 4-ch latach zdają magisterjum i odrazu idą na praktykę nauczycielską, a potem zdają egzamin pedagogiczny, a Bronka i Irka chcą skończyć jeszcze uniwersytecki kurs pedagogiczny, trwający około dwóch lat, i staną do pracy jako wykwalifikowane siły.

— A ty, czy ciągle upierasz się przy sławie naukowej? — zapytała Fela przyjaciółki — czy nie lepiejby było, żebyś wzięła się do nauczycielstwa?

— Hm, może i lepiej — szepnęła Elżbietka, i odtąd losy jej były przesądzone.

Dziś Elżbietka, mała Elżbietka już od paru lat jest polonistką w jednej z najlepszych szkół warszawskich. Za pracą swoją przepada i wkłada w nią dużo zapału, którego nie jest w stanie przygasić ani żmudne poprawianie kajetów, ani awantury w klasie (któraż klasa obejdzie się bez awantur!) ani zmęczenie. A przytem — ho, ho, zarabia około 300 zł. i jest z tego niezmiernie dumna, błogosławiąc chwilę, w której rozsądna Fela odradziła jej niestosowną dla niej karjerę naukową. *Zofja Miszewska.*

LIST SIOSTRY
1863

List ten położę pod drzewem rozrosłem,
pod szeleszczącem drzewem jaworowem.
W liście — słowa. Zwyczajne, krótkie słowa proste.
Pocieszenie. Otucha. Czułości domowe.

Mama prosi: uważaj . W lesie świszczą kule!
Strach tętni w dzikiem echu! Strach w zaroślach mieszka.
Mama prosi: uważaj. — Mróz. — Śmierć — ...ach, nie uledz!
— ...Pewno Ci się podarła futrzana bekieszka?..

Pamiętaj o swej siostrze w taftowej sukience —
drżąca z listem w las pójdę. W las wielki. W las wojny.
— Złożą go pod jaworem kochające ręce.
W Imię Boskie Cię żegnam. Bądź spokojny.

Halina Jodłowska.

PRZEWRÓT W RODZINIE DORNÓW

NOWELA

— No więc? — zapytał Alek, energicznym ruchem obutej w olbrzymie, sportowe bucisko nogi, gniotąc niedopałek papierosa.

Pomimo iż czyn ten wybitnie kolidował z przyjętym przez młodych Dornów, savoir vivre'm, tym razem jednakże nikt na to nie zwrócił uwagi.

Albowiem Marchewka była najwyraźniej zrozpaczona.

Otóż, gdy jedynej żeńskiej latorośli Rodu Dornów, pannie Margericie Ewie, popularnie zwanej Marchewką przytrafiało się coś nieprzyjemnego, reszta tego Rodu przejmowała się tem bardzo, odrzucała swoje zwykłe, męskie zajęcia, jak palenie, żucie gumy, spluwanie na odległość i t. p. i śpieszyła na pomoc siostrze.

I tym razem otoczyli ją wszyscy zwartem kołem pięciu głów i naprzemian obdarzali nieporadnemi, silącemi się na dowcip słowami pociechy.

Sami zresztą zrozumieli, że i tak nic nie pomoże, że trzeba na to znaleźć konkretną radę.

Siedziała skulona na małym stoleczku, objąwszy ślicznemi, szczupłemi rękami (najładniejsze, co posiadała panna Marchewka), chude kolana. Twarz, zachmurzona i smutna, zmatowiałe spojrzenie zazwyczaj tak błyszczących oczu, smętnie zwisające kosmyki czerwono - złotych włosów, której to oryginalnej — jak mówili chłopcy — „maści" Marchewka poczęści zawdzięczała swoje jarzynowe przezwisko — wszystko to sprawiało wrażenie tak żałosne i tak bardzo odbijające od zwykłej, znanej chłopcom promiennie-wesołej, rozdokazywanej, w każdej chwili gotowej do najdziwaczniejszych, najbardziej szalonych figlów dziewczynki — że chłopcom zrobiło się bardzo jakoś nieprzyjemnie.

— Możebyś się spróbowała zadrapować w prześcieradła — zaproponował praktyczny Karolek, po której to, dość zresztą nieśmiałym głosem uczynionej propozycji, reszta braci podeszła do niego i z zimną krwią zapuściła mu za kołnierz sporo drobnych rzeczy jak guziki, ogryzki ołówków i temu podobnych nieprzyjemnych w dotknięciu, a kłopotliwych do wydostania przedmiotów, poczem Karolek, równie milcząc



oddalił się, prawdopodobnie w celu zdjęcia swej zwierzchniej garderoby i wyłowienia z niej własności braci.

W niepisanym kodeksie Rodu Dornów istniał paragraf, na mocy którego każdemu z jego członków, który palnął jakieś wybitniejsze głupstwo, można było wrzucić za kołnierz wszystko, co wpadło pod rękę — prawdopodobnie w celu przywrócenia mu przytomności.

— Czy dzwoniłaś już do wszystkich — możeby która z koleżanek mogła ci pożyczyć — zagadnął Mik.

Marchewka ponuro potrząsnęła głową.

— Oszalałeś! Jak sobie wyobrażasz, czy która kobieta pożyczy swej balowej sukni w karnawale?! I to jeszcze na amatorskie przedstawienie! A zresztą wszystkie dziewczynki, jeżeliby nawet która zgodziła się już pożyczyć, co jest zupełnie nieprawdopodobnem, mają zwykle sukienki, a ja przecież muszę mieć prawdziwą, dorosłą suknię! No powiedzcie sami, czy wyobrażacie sobie hrabinę ,wspaniałą damę w jakiejś tam zwykłej smarkatej kiecce? I co ja mam zrobić? Tak się cieszyłam, że dali mi tę piękną rolę uroczej hrabiny, a teraz wszystko do djabła poszło. Że ja też mam takie szczęście... No, czego gapicie się? Dajcie mi już spokój — i oczy Marchewki po krótkiej chwili nabrały wyrazu i przedewszystkiem koloru, mocno przypominającego oczy królika.

Skoro Marchewka beczała — musiało jej rzeczywiście na czemś mocno zależeć, gdyż od najwcześniejszego dzieciństwa, wpojono w nią pogardę do tego rodzaju przejawów słabości. Nic zresztą teraz dziwnego w płaczu Marchewki chłopcy nie znaleźli — wiedzieli doskonale o tem, jak marzyła o roli hrabiny, jak się ucieszyła otrzymawszy ją, wreszcie ile godzin poświęciła na staniu przed lustrem i uczenie się. W obecnej chwili, zerwawszy się na nogi i stanąwszy w dramatycznie-wytwornej (według mniemania Marchewki) pozie, płacząc gorzkiemi łzami, przypominała sobie najładniejsze urywki. A więc pełnym dystynkcji głosem:

„...O, najdroższy markizie! Czy rzeczywiście mnie porzucasz, udając się w podróż daleką i pełną niebezpieczeństw..."

A potem zbolałym tonem:

„...Egmoncie!.. kochające serce cię wzywa..."

Wreszcie, zniżając głos do tragicznego szeptu:

„...— litości... litości..."

i zjadliwie:

„...— ha, ha, ha... myśleliście, że mnie oszukacie? Oliwa sprawiedliwa, prawda zawsze na wierzch wypłynie!".

Należy nadmienić, że fabuła sztuki, w której młoda ta i obdarzona niepowszednim temperamentem dama występowała w tak różnych sytuacjach, została napisana przez spółkę literacką B-ci Dorn i przez grono rówieśników Rodu i w najbliższych dniach miała być wystawiona w wielkiej sali klubu, do którego należał Dorn senjor. Pierwszy akt sztuki był żywcem przetłumaczony z francuskiego przy pomocy Mademoiselle, pozostałe stanowiły reminiscencje z Conan Doyle'a zmieszane z Dumasem, Wallacem i Louis Boussenardem. Marchewka osłodziła tę mieszaninę przy pomocy Elinor Glynn i Florencji Barclay. W sztuce występowali sami hrabiowie, markizowie i książęta, w najgorszym zaś razie vikontowie. Trzy początkowe akty miały być mówione, pozostałe zaś dwanaście, pantominiczne. Stało się tak dlatego, że autorom znudziło się pisać, bali się zresztą, że aktorzy zapomną przy takiej ilości aktów swych ról.

Wszystko już było gotowe — pozostawała jedynie sprawa owej nieszczęsnej sukni — sukni koniecznej do uświetnienia całej sztuki, wymaganej zresztą przez jej sens (drugi akt: hrabina na balu olśniewa wszystkich swą elegancją, klejnotami i urodą. — przebrani złodzieje skuszeni tem, postanawiają ją uprowadzić i t. d. i t. d.).

Marchewka, znużona ognistą przemową do bandytów opadła wreszcie, ciężko dysząc na dywan przed kominkiem.

Bob prędko skorzystał z przerwy.

— Możebyś poszła do ojca? Przecież zawsze wszystko robił, co chciałaś — może teraz sobie przypomni te dawne czasy...

Marchewka zamieniła się w małą, czerwoną furję dyszącą wściekłością, miotającą błyskawice z oczu i przekleństwa z ust.

— Ja do ojca?! Teraz?! Po tem wszystkiem, co nam złego wyrządził?! potem, jak przywiózł „ją"?! Ją, która ośmieliła się nas krytykować i wszędzie się wtrąca?! Nigdy w życiu!!! Zresztą, nawet gdyby ojciec się zgodził, ona powie, że nie, że takie młode dziewczynki powinny się zadawalniać tem, co mają, że nic nie szkodzi, jeżeli będę grać hrabinę w mojej zeszłorocznej sukience. Nie chcę się poniżać i basta! Nie cierpię tej baby! Nienawidzę jej! Najgorszem jest ,że zupełnie nie posiada poczucia humoru! Ten jej sposób mówienia: „Eiwa, wolałabym, żebyś więcej uważała na paznokcie". Co u djabła ją moje paznokcie obchodzą? I nie jestem żadna Eiwa. Co innego, gdyby jej nie było. Wtedy ojciec byłby tylko dla nas. I poco on ją tylko przywoził? Siedziałaby w swojej Irlandji!

Otóż przed rokiem jeszcze dzieci Dornów żyły w największej przyjaźni z ich wesołym, kochanym tatusiem. Marchewka prowadziła gospodarstwo przy pomocy bony Elzy i kucharki Marty i nikt nigdy nie miał nic przeciw temu, że godziny posiłków zmieniały się w zależności od humoru członków rodziny.

Gdy pewnego razu ojciec wrócił z podróży i przywiózł z sobą wysoką, szczupłą kobietę — swoją żonę, młodym zrobiło się na jej widok bardzo nieprzyjemnie — nie pamiętali wprawdzie swej matki, przechowała się w ich pamięci, jakby coś z anioła, czy wogóle czegoś nadziemskiego, zjawienie się wszakże pani Sheili wydało się im obrazą pamięci matki, obrazą domu.

Przywitali się chłodno, grzecznie i natychmiast poszli do bawialni.

A wtedy Alek, jedyny z Rodu, który zachował wyraźny obraz matki, poraz pierwszy o niej opowiedział reszcie dzieci w kilku lakonicznych zdaniach. Wzruszenie przychodziło mu z trudnością — tak samo, jak reszcie Rodu. Ród Dornów bowiem absolutnie nie posiadał żadnych sentymentalnych pierwiastków — od wszelkich wzruszeń wstydliwie się odwracano.

Z przybyciem pani Sheili wszystko w domu się zmieniło. Zjawiły się nowe, nieznane posiłki i potrawy, przy stole rozmawiano po angielsku, a po śniadaniu ojciec pośpiesznie całował dzieci i szybko wychodził za żoną na ganek, przed którym czekał już warczący samochód, wychodził zresztą także wieczorem, po późnym obiedzie, — pani Sheila lubiła się bawić. Skończyły się miłe, poobiednie i wieczorne pogawędki — ojciec miał teraz mało czasu.

Stosunki z panią Sheilą ułożyły się chłodno, ale poprawnie. Pod niektóremi względami imponowała nawet Rodowi. Chłopcy cenili w niej doskonałą umiejętność jazdy konnej — Marchewka zaś, nienaganną elegancję. Czyniła niekiedy z początku wysiłki zbliżenia się do nich, opowiadała o swej dalekiej rodzinie, poruszała tematy sportowe ,zabierała nawet kilkakrotnie całą gromadę do kawiarni na lody — młodzi jednakże pozostali obojętni na te wysiłki, aż ich wreszcie zaprzestała.

Ostatniemi czasy stosunki te zamieniły się na wrogie — chłopcy, obrażeni za naganę uczynioną ich ukochanej Marchewce w obecności gości, postanowili panią Sheilę bojkotować. Szczególnie pod tym względem odznaczał się Alek, który jako najstarszy, dorosły młodzieniec, niejednokrotnie przeciwstawiał się pewnym rozporządzeniom pani Sheili, tyczącym się Marchewki i wydającym się jemu niesprawiedliwe.

W pokoju panowała cisza.

Marchewka, leżąc z rękami założonemi za głowę, marząco spoglądała w przestrzeń. Alek zapalał nowego papierosa. Mik słuchał radja, Bob i Karolek smarowali narty, najmłodszy Żorżyk wczytywał się z zapałem w niekończące się przygody Karola Maya.

W przedpokoju zadźwięczał dzwonek. Marchewka zerwała się z dywanu i pobiegła otworzyć drzwi.

Była to dziewczynka z magazynu z suknią dla pani Dorn. Marchewka podpisała się, wzięła pudło i zaniosła do bawialni. Chłopcy z zainteresowaniem zgromadzili się dokoła niej.

Szybko rozwiązała sznurki, odwinęła bibułki.

Urocze cudo, najpiękniejszego koloru jasnolila, całe w drobniutkich falbankach, do tego mufeczka i toczek z fiołków i fiołkowa pelerynka, podszyta srebrną lamą.

Marchewka oniemiała z zachwytu. W oczach jej, które już zdążyły obeschnąć zjawiły się nowe łzy.

— To jest właśnie ta suknia, jaka mi jest potrzebna. Dlaczego ta wstrętna kobieta to może mieć, a ja nie. Ona i tak ma tyle sukien.

Smętnie zapakowano z powrotem suknię i zaniesiono do pokoju pani Dorn. Chłopcy pocieszali Marchewkę:

— Nie martw się, coś ci tam wykombinujemy przecież mamy jeszcze kilka dni czasu.

Ale Marchewka nie dawała się pocieszyć, żadne słowa do niej przemawiały.

Wtem drzwi cicho się otworzyły, tak cicho, że nikt tego nie zauważył. Marchewka w każdym razie spostrzegła, a raczej poczuła panią Sheilę, dopiero, gdy ta przy niej stanęła i pieszczotliwie oparła swoją wolną rękę o ramię dziewczynki — wolną, gdyż druga była zajęta przezroczystemi zwojami gazy. Chłopcy zerwali się, stanęli w chłodnem oczekiwaniu.

— Siedźcie, siedźcie chłopcy, nie przeszkadzajcie sobie.

Stali jednak i patrzyli na nią srogim wzrokiem.

Poco jeszcze rozdrażnia ranę biednej Marchewki? Poco przywlokła tu tę suknię?

— Moja droga Marchewko (chłopcy popatrzyli na siebie ze zdumieniem), moje kochane dziecko, czemużeś mi nic nie powiedziała, że potrzebna ci jest suknia do przedstawienia? Dowiedziałam się o tem przypadkiem, będąc w mieście i nie miałam już czasu by zawezwać ciebie do magazynu, kupiłam więc suknię sama. Spodziewam się, że będzie ci do twarzy w tym kolorze — świetnie zresztą pasuje do twych złotych loków. Jest trochę za poważna, no ale skoro masz grać hrabinę...

Nie, stanowczo ta kobieta była całkiem do rzeczy. Na twarzy jej zjawiły się miłe dołeczki, a oczy nawet raz żartobliwie mrugnęły. Może to zresztą młodym się zdawało, byli bowiem bardzo, jakby to powiedzieć, wytrąceni z równowagi, a już najwięcej wzruszona była Marchewka. Twarz jej zaczerwieniła się, aż do korzonków ognistych włosów, oczy promieniały, usta uśmiechały się szczęśliwym uśmiechem. Drżącemi ze wzruszenia rękami pochwyciła nieśmiało, a pożądliwie prześliczne gazy i wpatrywała się w nie, nie wierząc swemu szczęściu.

Pani Sheila ciągnęła dalej:

— Sądzę też, że chyba mogłaś poprosić mnie o którąś z moich sukien — znamy się przecież już dość dawno. Przyznam ci się zresztą, że szaleję za amatorskiemi przedstawieniami — w swoim czasie napisałam kilka komedyj pod pseudonimem Anna Brown, zrozumiałam więc, jak musiało ci zależeć na tej sukni. Przykro mi trochę, że nie zwróciłaś się z tem do mnie sama, wiesz przecież, jak się cieszę, gdy mogę wam coś miłego sprawić. No, ale dość już tego — daj buzi i chodźmy na herbatę.

Ale młodzi nie ruszali się z miejsca. Spoglądali na macochę z bezgranicznym podziwem.

Więc to była Anna Brown!

Anna Brown, komedjo i powieściopisarka! Autorka cudownych pełnych humoru i dowcipu komedyj, autorka wyróżnionych scenarjuszy filmowych! Autorka powieści p. t. „Przygody Marjanny", powieści, którą zaczytywał się cały Ród Dornów, poczynając od siedemnastoletniego Alka, kończąc dziesięcioletnim Żorżykiem! Anna Brown była ich macochą! Czemuż więc nic im o tem nie powiedziała?

Niewiadomo, kto przerwał milczenie. Alek twierdzi, że to on, jako najstarszy, podziękował pani Sheili w imieniu Marchewki, która była całkiem nieprzytomna, i pocałował ją w rękę, ale ludzie bardziej bezstronni upierają się przy zdaniu, że mały Żorżyk — Sokole Oko — nagle wydawszy dziki indyjski okrzyk zawisnął na barkach pani Sheili, czyli Białej Twarzy i cmoknął takową gdzieś w okolicach lewego policzka. Czyn ten podyktowany natchnieniem spotkał się z całkowitem uznaniem reszty Rodu. W każdym razie uważać można za pewne, że jeszcze na drugi dzień panią Sheilę bolały ramiona i dłonie od mocnych, przyjacielskich uścisków i poklepywań, a w uszach dźwięczały komplementy Karolka, Boba i Mika (byczą kobieta z pani! Jak Boga kocham morrus! strasznie pani porządnie postąpiła! etc.). Wiemy też pozatem, że twarz pani Sheili była przez dłuższy czas zaczerwieniona od gorących pocałunków Marchewki i wzajemnie.

Przedstawienie młodych Dornów nadzwyczaj udało się. Marchewka mdlała z dystynkcją prawdziwej hrabiny, osuwając się na przezornie podstawioną zawczasu kanapkę. Wspaniała tualeta wywołała istną furorę wśród zgromadzenia. Alek w roli markiza Egmonta de Roast-Boeuf walecznie bronił swej ukochanej od zbrodniczych intryg bandytów (Karolek, Mik i Bob-Żorżyk z powodu młodego wieku spełniał funkcje inspicjenta — wywoływał aktorów na scenę, podnosił i opuszczał kurtynę). Na zakończenie scena przedstawiała istne pobojowisko (trupy trzech bandytów, zwyciężonych przez markiza Egmonta), pośrodku którego w wzruszającej pozie stała zakochana para.

Obecnie Ród Dornów przygotowuje nową sztukę, osnutą nie na tle życia amerykańskich miljarderów i gwiazd filmowych, ale prawdziwych przygód z życia Rodu. Zdaje się, że wydatnie z młodymi Dornami współpracuje w tem pewna znakomita komedjopisarka, ukrywająca się teraz pod pseudonimem Sheili Dorn.

Irena Hellmann.



Życie towarzyskie

Niebezpieczeństwo manjery

Jeżeli się widziało na ekranie, lub choćby tylko na wystawionych w witrynie fotosach, „Blond Wenus" lub inny „Shanghaj-Express" — przynosi się do domu głowę pełną nieokreślonych tęsknot i dokuczliwych inwencyj tualetowych. Drażniąco szeleszczą w mózgu kogucie pióra, pióra pióra... Olśniewająco błyszczą lepkie pancerze opiętych, powłóczystych szat z jedwabnej ceraty, fruwają, jak motyle, zalotne mgiełki długich woalek, które jasnowłosy wampir nosi tak, jak nikt; jak nikt.



Ubrać się tak, jak ona! Wyglądać tak, jak ona!

Nic łatwiejszego, niż ugłaskać kochającą matkę, steroryzować zahukaną domową krawcową. Można zresztą, bez niczyjej wiedzy, nabyć zausznice monstrualnych rozmiarów i olbrzymią, nie woalkę już, a woal i wprawiać się godzinami przed lustrem w układaniu go, na pensjonarskim berecie, w przeróżne sposoby.

Od przodu do tyłu, od tyłu do przodu. Na bok. Równo dookoła. Eeech... zawsze wygląda to zupełnie inaczej, niż na filmie. Może dlatego, że beret to nie kapelusz, a może i dlatego także, że co autentyczna, zagraniczna, dorosła, przerosła, wymakijowana, wyreżyserowana Marlena, to nie jej krajowa, piętnastoletnia imitacja.

Z kogucich piór wypada odrazu zrezygnować, bo i skąd je zdobyć? Jeszcze latem, na wsi dałoby się wytoczyć wojnę kogucim ogonom, ale teraz...

Kaprysami i podstępem, udaje się jednak wywalczyć szatę obcisłą i niemal że powłóczystą (zwłaszcza o ile się konsekwentnie i wytrwale kuca przy jej mierzeniu). Aksamitną? Ba, chciałoby się. Ale mama oparła się stanowczo, twierdząc, że to nietylko nieodpowiednie, ale i za kosztowne. Więc niech już będzie — welwetowa.

Welwetowe skosy nie chcą się fotogenicznie układać. Ha, trudno, wypadnie to nadrobić kinetyczną wężowością postaci (ponowna serja ćwiczeń przed lustrem). Cekiny znalezione w zapomnianej szufladzie matczynej szafy, lub kufrze, do którego nikt już nie zagląda — użyje się na szerokie przybranie wycięcia.

W ostatniej chwili (żeby nie zdążyli przeszkodzić) trzeba będzie jeszcze nadpruć u góry lewy rękaw; tak, żeby powstało kuszące, demoniczne okienko na ramieniu. To wypadnie bardzo wampirowato.

Teraz jeszcze wyskubać brwi. — O jej! jak to boli!.. Może lepiej zrezygnować? — Ale teraz jest krzywo, więc płacząc wyrywa się dalej włosek po włosku. Powieki puchną, przy brwiach tworzą się dwa obrzękłe czerwone wałeczki. Zapudrować! Żeby nie było znać, i żeby wyglądać interesująco, blado.

Wyraz twarzy marlenicznie roztargniony. Głos niski, bez mała basowy. Słowa rzucane zrzadka, wzgardliwie; jakby je chciwie zbierał aparat dźwiękowy.

Powodzenie pewne, murowane. Choć ojciec powiedział: — Cóześ ty za czupiradło zrobiła z siebie dziewczyno?!.. — Matka: — I ty sobie wyobrażasz, że ja ci pozwolę tak wyjść z domu? — A brat przewrócił się na kanapę, brykał w górę nogami i krzyczał — Oj, trzymajcie mnie!.. Oj, ratunku, bo pęknę...

Jak kto ma charakter i wolę, to wyjdzie cało z najgroźniejszej domowej burzy, a przejmować się nie warto: — nikt nie jest prorokiem.. Ale jeżeli i na balu... A przecie to nie żadna smarkaterja, tylko najstarsze klasy, nawet sporo studentów z wyższych uczelni. I żeby tak się nie znali... Wszystkie głupie, swojskie kozy i gąsiątka rozfikane, rozbrykane, roześmiane



Latają bizuny warkoczy, trzęsą się puszyste czupryniki, błyszczą oczy uradowane. Tańczy Zosia w szkolnym mundurku, Marysia — w białej bluzeczce. Tańczy Lila i Lala w jasnych, letnich markizetach. I Ania w ciemnej wełnie. I Helka w szydełkowym pullowerze.

Nie tańczy tylko domorosła Marlena w welwetowych aksamitach. Marlena z wyskubanemi brwiami, buzią umęczoną, jak młynarz, i ustami ściągniętemi w podkówkę, bo... chce jej się beczeć poprostu. Wiele można wytrzymać, ale być osieroconą na balu... nie, to nie do zniesienia!

Przystojny podchorąży prowadzi pod rękę rozszczebiotaną Halinę.

— Nie podoba się panu moja przyjaciółka? Ta w długiej sukni... tam pod ścianą?

— Wie pani... ona może i byłaby niebrzydka, ale taka jakaś pretensjonalnie wystrojona, zmanierowana... Ja bo lubię wesołe, naturalne dziewczęta, jak pani.

Halinka promienieje. Marlena gaśnie.

I warto było się starać dla tych... „głupców"?!!...

J. Kiernarska.

DOBRA KSIĄŻKA

Czy lubicie przygody i podróże? Na sto dziewcząt, conajmniej połowa odpowie, że nie, ale za to ta druga połowa z takim entuzjazmem zakrzyknie, że tak, że bardzo, że to są właśnie jedyne warte czytania książki, że, porwana ich zapałem postanawiam dziś pomówić o takiej awanturniczo-podróżniczo-przyrodniczej lekturze i podzielić się z Czytelniczkami wrażeniami, jakie odniosłam przy czytaniu trzech, niezwykle ciekawych książek.

Pierwsza z nich to opowieść Barszczewskiego p. t. *Tajemnica Jeziora Bangweolo*. Historja napoły fantastyczna, napoły prawdziwa o wyprawie polskiego uczonego w głąb Afryki, dla odnalezienia żywego... dinozaura. Profesor w arcyciekawą podróż zabiera dwoje swoich bratanków: Stasia i siostrę jego Zuzię, dzielną dziewczynę. Towarzystwo wyrusza w podróż na samolocie „Orzeł Biały", zażywa w ciągu akcji niesłychanych przygód i wraca wprawdzie bez dinozaura, ale z wielkiem zadowoleniem z doznanych wrażeń. Książka napisana jest żywo i ciekawie, może na początku przeładowana cokolwiek sprawami czysto naukowemi, później jednak przykuwa uwagę szybko toczącą się akcją.

Zupełnie innego rodzaju utworem jest powieść Ossendowskiego p. t. *Miljoner Y*. Książka ta ma przedewszystkiem tendencje czysto społeczne i z tego względu może być ciekawą dla tych Czytelniczek, dla których Przygoda, przez duże P, nie jest najważniejszą atrakcją.

Miljoner Y — to historja małego murzyńskiego chłopca, który dzięki swej przedsiębiorczości i odwadze nietylko sam doszedł do wielkich moralnych i materialnych rezultatów w życiu, ale do swej wioski rodzinnej wniósł tysiące ulepszeń, z któremi zapoznał się w dalekiem, dużem mieście białych ludzi.

Trzecią książką, o której chcę opowiedzieć to Smejkal'a *Sfora bieguna południowego*. Jest to prześliczna powieść, osnuta na tle wyprawy Byrda do bieguna południowego. Osnuta — to nie znaczy fantastyczna. Wszystko jest w niej prawdziwe, nawet nazwiska i charakterystyka uczestników, to znaczy ludzi i psów, nawet sytuacje oparte na relacjach z wyprawy. Tylko intrygę, poetyczną historję miłości Danu do dalekiej „Marjore z Lądu", i listy tej tajemniczej, nieznanej dziewczyny, to fantazja autora, fantazja, doczepiona zręcznie i delikatnie.

Nie to jest w książce jednak najbardziej czarujące: czarującem jest koleżeństwo ludzi i psów, zawarte, jak przymierze na śmierć i życie w obliczu niebezpieczeństwa.

Dla tych Czytelniczek, które kochają i rozumieją zwierzęta, książka Smejkal'a będzie nieocenionym skarbem tembardziej, że doskonałe i kulturalne tłomaczenie, oraz estetyczne wydanie podnosi jeszcze jej wartość.

Poza temi trzema książkami, ukazało się jeszcze w ostatnich czasach jedno wydawnictwo, które napewno cała młodzież szkolna powita z radością. Jest to encyklopedja dla młodzieży p. t. *Świat i życie*. Uwzględnia ona wszelkie zainteresowania i potrzeby młodzieży, a ładny i czytelny druk oraz estetyczne wydanie sprawią, że *Świat i życie* będzie dobrym nabytkiem dla Waszej bibljoteki.

Z. M.

BĄDŹ ŁADNA I ZDROWA

Pielęgnacja rąk.

Ręce dobrze utrzymane wyglądają zawsze estetycznie, niezależnie od tego, czy palce są mniej lub bardziej wysmukłe, ręka wąska, czy też krzepka i szeroka.

Na czem polega dobry wygląd ręki?

Zacznijmy od paznokci.

Przedewszystkiem muszą być one czyste, następnie porządnie obcięte, lub co lepiej opiłowane. Poza opuszkę palca paznokieć nie powinien wystawać — najwyżej może być na jej poziomie. Długie, modelowane paznokcie są nieładne i niehygjeniczne, a poza tem która dzisiejsza kobieta pracująca zawodowo może sobie pozwolić na taką niedogodność, jaką są bez wątpienia długie paznokcie? Linja górna paznokcia nie może być spiczasta ani płaska. Najlepsze jest nadanie paznokciowi kształtu migdałów. Jak już wspomniałam najlepiej jest skracać paznokieć pilnikiem: daje to lepsze wyniki, gdyż osiągnąć można ładniejszą i równą linję. Przed opiłowaniem paznokcie należy wymoczyć najlepiej w ciepłej wodzie z mydłem. Wtedy unika się łamania paznokci o ile są kruche. Obcinanie skórki dokoła paznokcia jest niewskazane. Zarówno osoby prywatne, jak i zawodowe manicurzystki mogą zawsze skaleczyć naskórek, a ponieważ używane do tych zabiegów narzędzia nie są nigdy odkażane, przeto częstą komplikacją jest ropne zapalenie łożyska paznokciowego, czyli tak zwany zastrzał. Dobre rezultaty można natomiast osiągnąć zapomocą łopatki lub w jej braku jakiegoś innego tępo i okrągło zakończonego przedmiotu. Po myciu staronnem można miękką i podatną „skórkę" zepchnąć delikatnie jak najbardziej w kierunku odśrodkowym. Zazwyczaj rezultat jest zupełnie zadawalniający. Lakierowanie paznokci nie jest pożądanem. Jeżeli już jednak używa się lakieru, to w każdym razie zupełnie jasnego, a nie różowego lub czerwonego. Także i czerwone obwódki przy jasnym lakierze są bardzo nieestetyczne. Najlepiej paznokcie, które nie są lakierowane można doprowadzić do połysku zapomocą kawałka zamszowej skórki, którą pociera się powierzchnię paznokcia.

Czasami na paznokciach pojawiają się białe plamki. Zjawisko to w języku potocznym nosi nazwę „kwitnienia paznokci". Bielactwo paznokci polega na wnikaniu powietrza pomiędzy komórki paznokcia. Może być ono na wszystkich paznokciach lub tylko na niektórych, zajmować większe lub mniejsze przestrzenie i t. p. Przyczyną tego stanu jest często odmrożenie palców rąk, manicure, zaburzenia w przemianie materji, wpływy nerwowe. Przy tym stanie należy je polerować proszkiem z karminem.

Poważną bolączką przedewszystkiem wieku młodzieńczego jest pocenie się rąk. Często cierpienie to występuje w lecie, ustępując w zimie. Są jednak przypadki, że ręce pocą się przez cały rok. Ręce takie sprawiają niezmiernie przykre wrażenie przy dotyku, a pozatem, co najważniejsze, przeszkadzają w pracy. W potnieniu rąk dobrze jest stosować mycie rąk 2% mydłem formalinowem lub też wodą z formaliną (1 litr wody i 1 łyżka stołowa formaliny).

Pozatem bardzo dobrze działa kwas borny w proszku, którym należy na noc posypać ręce i nałożyć niciane rękawiczki.



Podczas zimy i jesieni często u osobników młodych występuje odmrożenie rąk. Odróżniamy trzy stopnie odmrożenia. Najczęściej w normalnych warunkach spotykamy się z pierwszym stopniem, t. j. z zaczerwienieniem, obrzękiem i swędzeniem skóry. Barwa odmrożonego miejsca jest przeważnie sino-czerwonawa. Ból, pieczenie i swędzenie najczęściej występują wieczorem i przy przejściu z zimnego powietrza do ciepłego. Odmrożona raz skóra jest skłonna do nawrotów. Ponieważ odmroziny występują przeważnie u osób anemicznych i wątłych, przeto muszą być one leczone w związku z całym organizmem.

Można zapobiegać odmrożeniu przez noszenie luźnych i ciepłych rękawic z wełny lub futra. W leczeniu odmrozin pomaga bardzo kąpanie rąk w gorącej wodzie o temperaturze 37 — 40° C. z dodaniem kory dębowej, garbnika, ałunu lub wody Burowa. Kąpiel taka powinna trwać od 20 do 30 minut. Wszelkie nacieranie i maści mogą być stosowane tylko z polecenia lekarza.

Hanna Nowosielska.



PRZEDSIĘBIORCZA DZIEWCZYNKA.

12-letnia Norweżka, zamieszkała w Oslo, wpadła na ciekawy pomysł i, co ważniejsze, wprowadziła go w czyn, wykazując tem wiele energji i przedsiębiorczości. Otworzyła mianowicie w domu swoich rodziców — bez niczyjej pomocy — rodzaj bazaru, w którym sprzedaje różne robótki ręczne, wykonane przez siebie i przez swe koleżanki.

Dochód przeznaczony jest na cele dobroczynne. Bazar ma ogromne powodzenie, kupujących jest wciąż pełno, gdyż mieszkańcy Oslo chcą w ten sposób okazać małej przedsiębiorczyni swoje uznanie.

SZKLANY SAMOCHÓD.

Na wystawie w Chicago, która odbędzie się w przyszłym roku, zwiedzający będą mogli podziwiać nowy model samochodu, którego karoserja zrobiona jest całkowicie ze szkła. Jadący tym samochodem będą mieli nietylko doskonały widok na okolicę, ale również będą mogli przypatrywać się pracy motoru, zamkniętego w szklanem pudle.

ODWAŻNA I PIĘKNA.

Tak określono młodą szwedkę, pannę Ewę Dickson. I nie bez słuszności. Bo, chcąc wygrać zakład, odbyła sama podróż samochodem wpoprzek Sahary. Towarzyszył jej tylko służący murzyn.

Podróż trwała 27 dni i obfitowała w liczne przygody.



Na fotografji widać dzielną podróżniczkę, jej służącego i mocny wóz, w Paryżu, na placu Trocadero, dokąd zajechała w drodze powrotnej do rodzinnego miasta, Stockholmu.

Podróż całą wpoprzek Europy odbyła tam i z powrotem samochodem.

GASTON CH. RICHARD



CZAR SKRZYDEŁ

TŁOM. STEFANJA HEYMANOWA

(Dalszy ciąg).

— Nie, o nie, nie płacz tylko! — zawołała pani de la Chantaignery. — Mów. Przyznaj się, co jest twojem najserdeczniejszem życzeniem, powiedz to na głos, moje dziecko. Boże! Dosyć drogo okupiłaś możność mówienia szczerej prawdy. Mów, kochanie!

— Babciu... — wybełkotała Janka.

— Tak, mów, bądź szczera — mówiła dalej staruszka w podnieceniu. — Przyjmuję swój los i twój, skoro w tych okropnych czasach, w których żyjemy, mówią, że kobieta powinna być rywalką mężczyzny, jeżeli nie chce być zdeptana. Mów otwarcie i szczerze, moje dziecko. Ja jestem z rodu de la Chantaignery i kobietą z innej epoki. Ale ty, ty jesteś Bel du Colombel. Może dusza wielkiego korsarza odbija się w twojej duszy. Mów! Mogę cię zapewnić, że jeżeli zginiesz pewnego dnia, ja umrę także, i powiem sobie, że żyłam dosyć! Mów, kochanie!

— Dziękuję! — powiedziała Janka. — Dziękuję ci, babciu!

— W ten sposób zostaniesz wierna dewizie twojego rodu, którą król-rycerz dał twemu antenatowi, zwanemu Rycerzem Morza: „Na niebie zawsze widne moje białe skrzydło". Widocznie jest to twój los, z woli Boga. Niechaj cię ma w Swej opiece!

Pani de la Chantaignery umilkła.

— Niech pani mówi, moje dziecko — zwrócił się Durand-Gardel do Janki. — Czy to coś aż tak poważnego?

— Tak — odrzekła Janka.

I zwróciwszy wzrok na babkę, dodała:

— Chciałabym zostać lotniczką.

Durand-Gardel, oszołomiony, spoglądał to na panią de la Chantaignery, to znów na Lemonnier'a. Ten uśmiechnął się tylko, ale wyraz twarzy staruszki, jej oczy nagle pełne łez i słowa, nabrzmiałe bolesną rezygnacją, były dostateczną ilustracją oświadczenia dziewczęcia i dowodziły, że nie rozchodziło się tu o gorączkowe urojenie, lecz o projekt, który staruszka zwalczała, o którym musiały nieraz rozprawiać ze sobą, i który Lemonnier znał, niewątpliwie.

— Lotniczką? — powtórzył, nie wierząc jednak własnym uszom. — Pani pragnie zostać lotniczką?

— Tak — odrzekła Janka z prostotą — Jest to moje największe życzenie! Zresztą przyjęłam posadę w Towarzystwie Budowy Samolotów w nadziei, że w ten sposób uda mi się prędzej to życzenie zrealizować. Czekałam cierpliwie cztery lata, co może panu poświadczyć pan Lemonnier.

— A więc teraz to się spełni! — rzekł Lemonnier.

— Czy pani choć latała już kiedyś? — spytał Durand-Gardel.

— Tak — odpowiedział za nią Lemonnier — nawet pilotowała. Troszeczkę. Dwa, czy trzy razy ze mną, dwa, trzy razy z Grangerol'em. Kilka razy z Marcelem Demp... Dobra równowaga, dobre płuca, dobre serce, zmysł orjentacji, spostrzegawczość i w dodatku orli wzrok. Jeżeli nie pozostawiłem zupełnie kierownicy w jej rękach, to jedynie dlatego, że wiem, iż pan nie lubi kobiet w tym zawodzie...

Durand-Gardel westchnął.

— Moje dziecko — rzekł, zwracając się do Janki — rozumiem pani pragnienie, a jednak waham się, czy je spełnić, albowiem niebo jest więcej nieskończone, niż bywa niem morze, które ma swe ataki wściekłości. Są często straszliwe, o tem pani wie. Ale i powietrze je miewa, i to niemniej straszne. Ale na powietrznym oceanie niema przystani miłosierdzia, niema portów, gdzie możnaby szukać schronienia, ani miejsc, gdzie, w ostateczności, można osiąść na mieliźnie. Jest tylko nieskończoność, bezkształtna i wielobarwna, nieznana, żłobiona zawrotnemi przepaściami i zastawiona pułapkami, są ruchome, ciągle zmienne drogi, wśród kapryśnych wiatrów i zwałów chmur, przeoranych zygzakami piorunów. To ciężki i męczący zawód, niech mi pani wierzy. A choć czasem widzi się tam uśmiech sławy, to częściej jeszcze — szyderczy śmiech śmierci, albowiem odwaga nie wyklucza podstępów i słabości ciała. Mam dowód tego na twarzy

— Jako znak triumfu! — zawołała Janka z zapałem. — Wszystko to mówił mi pan Lemonnier, kiedyśmy, poraz pierwszy, wsiadali do samolotu. To samo powtarzała mi babcia. To samo pewnie mówiła słodka Angelica Bel, matka Jana Bel du Colombel, gdy będąc jeszcze małym chłopcem, który nigdy nie widział morza, oświadczył, że chce zostać korsarzem i odkrywać nowe lądy. Dotrzymał słowa, jak pani wiadomo, skoro on właśnie był jednym z pierwszych, którzy dotarli do wybrzeży Ameryki Południowej.

Umilkła. Rumieńce wystąpiły na jej bladą piękną twarz, a oczy płonęły ogniem zapału.

Spuściła powieki przed wzrokiem Durand-Gardela i dodała już ciszej:

— Niech pan nie sądzi, że chcę to na panu wymóc. Prosił pan, ażebym mu powiedziała, co mi sprawi przyjemność... Pan Lemonnier zachęcał mnie do szczerości. Więc byłam szczera. Ale pan może nie zwracać uwagi na moje życzenie, skoro pan jest zdania, że kobieta w awiacji jest nie na miejscu.

Zapanowało dość długie milczenie.

Durand-Gardel namyślał się, nie spuszczając oka z dziewczęcia. Lemonnier kręcił i przekręcał w rękach kapelusz, nie podnosząc głowy. Na twarzy pani de la Chantaignery odbijał się wyraz niepokoju.

Wreszcie konstruktor przerwał te chwile napięcia. Zwrócił się do Janki:

— Dla jakich celów pragnie pani zostać pilotką? Muszą być bardzo ważne, albowiem nie jest to karjera, któraby pobudzała ambicję młodej dziewczyny.

Janka zwróciła piękne, szczere spojrzenie na swego szefa, i odrzekła:

— Pragnęłabym żyć życiem bardziej czynnem i piękniejszem. To życie, jakie mi przypadło w udziale, nie jest dla mnie czemś ostatecznem, jest tylko początkiem. Sobie zawdzięczam to, że umiem wyzyskać swe zdolności, moim przodkom zaś — fakt, że nie ustępuję zbyt łatwo przed walką z życiem. Pragnę zdobyć dla siebie należne miejsce, ażeby zatrzymać przy sobie, jak długo Bóg pozwoli tę, która była moją wychowawczynią, moją najdroższą przyjaciółką i szanowaną towarzyszką. A ponieważ moi przodkowie, żołnierze, marynarze, podróżnicy, pionierzy, zawsze byli pierwszymi w swoim zawodzie, więc pragnę wychować siebie tak, jak oni. Pan mówi, że zawód jest ciężki i męczący? Przypomina mi pan, że niebo jest mo-

KAZIA PISZE

1.I.

Kochana Janko!

Dziękuję Ci bardzo za pisma z modami, które mi przysłałaś. Bardzo ładne. Oglądałyśmy je z Zośką wczoraj po obiedzie „odrabiając" lekcje. Zośka mówiła, że najładniejsza ta zielona suknia, ale na to, żeby ją włożyć trzeba być bardzo szczupłą. Ona by nie mogła. Wiesz przecież, jaki z niej serdel. Ze mnie też niezły. Szkoda. Myślę, że to *wielkie szczęście* mieć taką figurę, jak ta modelka... W każdym razie, bardzo dziękuję za pisma. Jutro cały internat wychodzi z „Fraulein" załatwić sprawy na mieście — to ci je odeślę. Całuję Cię najserdeczniej

Twoja Kazia.

5.I.

Kochana Janko!

Odesłałam Ci wszystkie pisma, oprócz „Elegantki". W „Elegantce" jest bowiem artykuł: „Jak osiągnąć piękną sylwetkę". Czytałyśmy go razem z Zośką. Bardzo ciekawe. „Elegantkę" odeślę za parę dni.

Całuję Cię —

Twoja Kazia.

6.I

Kochana Janko!

Zosia i ja postanowiłyśmy stać się „nowoczesnemi sylwetkami". Zaczynamy od jutra, bo dziś jest na obiad ryż ze śmietaną. Jak przyjedziemy na Święta Wielkanocne — *to nas nie poznasz.*

Twoja Kazia.

12.I.

Janeczko!

Prosisz, żeby Ci napisać, co to znaczy? Poprostu nabrałam wstrętu do swojej zdrowej powierzchowności „a la rzepa". Tobie, co siedzisz na prowincji, może to nie przeszkadza. Ale kiedy się jest w internacie w stolicy i codzień chodząc na spacer, spotyka cieniutkie strojnisie, jak lilje... *(Nie masz pojęcia,* jakie śliczne!). Ale myślę, *że to się da zrobić!* Bywaj zdrowa!

Kazia

18.I.

Moja droga Janko!

Jakoś jestem nie w humorze... Może dlatego, że to zima i pada taki wstrętny śnieg... Umarłe drzewa stoją za oknami... Niebo takie zimne, choć niebieskie. Nie lubię zimy... Taka jestem jakaś „do niczego". A w tem miejscu, gdzie mam żołądek, coś burczy i przykro ściska... Pomyśl: już dwa dni tak na pierwsze śniadanie piję herbatę niesłodzoną i jem kawaleczek chleba (Zosia też) Na obiad — prawie nic. (Zosia też). Pani przełożona na szczęście jeszcze niczego nie zauważyła. Na podwieczorek — coś tam — niby (Zosia też). Na kolację — ...prawie nic. Zdaje się, że trochę schudłam. Pasek kręci się naokoło. Zosia zła jakaś i kwaśna...

20.I.

...Nie masz pojęcia, co się ze mną dzieje! Dawniej myślałam o tylu, tylu sprawach! O rodzicach, o domu, o Tobie, o koleżankach, o szkole, ślizgawce, figlach, o słońcu, pogodzie! Interesowała mnie nawet rodzina szkolnego stróża Walentego (Walentowie mają dwóch ślicznych pyzatych chłopczyków). Teraz nic mi po głowie nie chodzi, tylko — jedzenie.

Pamiętasz pierniki cioci Frani? Te świąteczne? A ciasteczka z pianki, co zawsze przylegały w piecu do brytfanki? A tę — poprostu — kiełbasę z kapustą, którą nas częstowała żona poczmistrza? Jakaż była doskonała!

Pani przełożona wyjechała na parę dni do matki, na wieś. Nasza „głodówka" wypadła w dobrą porę, bo w tych warunkach łatwiej nam się „wymigiwać" przy stole od tuczących potraw. Brr! Bardzo przykra jest ta ciągła samokontrola! Troszkę tego — kęs tamtego — i ciągle człowiek głodny. W środku coś się kręci — pusto i chłodno. Głowa też jakaś do niczego — uczyć się nie chce. Nawet matematyka, któ-

rzem bez przystani? Wiem o tem. Mówi pan, że niebezpieczeństwo jest towarzyszem lotnika. Przyjmuję to bez obawy, albowiem niebezpieczeństwo jest wszędzie, w najbanalniejszych okolicznościach życia... Czy idąc brzegiem wału nie mogłam być napadnięta, obrabowana i rzucona do rzeki, chociaż wracałam od roboty, od mojej nędznej roboty daktylografki?

— Pani jest ambitna — rzekł Durand-Gardel.

— Dlaczegóżby nie? Nie jest zabronione dążenie do życia piękniejszego i pełniejszego, zdobytego uczciwą pracą. *Kto sobie pomaga, temu Pan Bóg pomaga* — mówi chrześcijańska zasada. Taka też jest moja zasada i moja wiara.

Mówiła tonem najzupełniej spokojnym, ale lekkie drżenie głosu i warg świadczyło o jej wzburzeniu.

Tym razem Klemens Durand-Gardel uśmiechnął się dobrodusznie.

— A więc — rzekł — niechaj pani najtajniejsze życzenia zostaną wysłuchane! Zobowiązałem się wobec pani moralnie do tego stopnia, że pani marzenie musi zostać spełnione: będzie pani lotniczką.

— Oh, dziękuję, dziękuję panu... — wyszeptała Janka.

— Ale wobec tego, trzeba będzie przenieść się do Paryża...

— Mój Boże! — rzekła cichutko pani de Chantaigncry. — Do Paryża! Życie dla młodej dziewczyny nie jest tam łatwe.

— Niech się pani uspokoi — podjął znów Durand-Gardel. — Przez cały czas nauki panna Janina będzie mieszkała u nas pod jednym dachem z moją żoną i córką Magdaleną, która jest mniej więcej w tym samym wieku. Oczywiście, w naszym domu znajdzie wszystko, czego jej potrzeba, a w godzinach wolnych od nauki będzie moją sekretarką i tłumaczką. Od dzisiaj podwajam jej pensję... Oczywiście, wszystkie koszty wyekwipowania biorę na siebie... Nie, nie, proszę mi nie dziękować... Przyznaję, że godzę się na pani życzenie trochę wbrew woli, gdyż muszę w tym celu przemóc swe uprzedzenia do kobiet-pilotek. Przychodzi mi to z pewnym trudem, mówię to pani zupełnie szczerze...

Mówiąc to, zmarszczył brwi i twarz jego przybrała wyraz ostry prawie, który nagle złagodził uśmiech.

— Winien jestem pani tę ofiarę — rzekł patrząc na Jankę przyjaźnie. — Wierzę, że pani posiada wyjątkowy charakter, a przecież jeszcze w szkole uczyłem się, że „niema reguły bez wyjątków". Można więc uznać raz jeden wyjątek.

— Dziękuję panu z całego serca! — Oczy Janki promieniały radością.

Durand-Gardel mówił dalej:

— Na profesorów pani przeznaczam moich dwóch najlepszych współpracowników. Mego syna Piotra, który będzie jednym z przyszłych pilotów „Kormorana" i jego najbliższego przyjaciela, jego *alter-ego*, jego drugie ja — Ferdynanda barona du Mas-d'Autours...

— Rekordzistę wysokości — dokończyła Janka.

— We własnej osobie — odrzekł Durand-Gardel.

Wstał i, pochylając się zlekka, dodał:

— Jestem pewny, że pani przyniesie zaszczyt profesorom. Proszę szybko wrócić do zdrowia. Niech pani weźmie sobie miesiąc urlopu, ażeby mieć czas na przygotowanie. Rozumie się, że urlop pani będzie się liczył od chwili zupełnego wyzdrowienia. Większa pensja obowiązuje od pierwszego maja... Cicho! niech pani nie oponuje... Nie lubię, kiedy mi się kto sprzeciwia. A teraz, drogi Lemonnier, dajmy temu biednemu dziecku wypocząć. To jej się należy... Czcigodnej pani składam swe uszanowanie.

Obaj panowie razem wyszli. Gdy się znaleźli sami w samochodzie, Durand-Gardel przez chwilę pozostawał milczący i zamyślony.

— Ma tupet ta pańska protegowana — odezwał się wreszcie. — Ale mówiąc między nami, zdaje mi się, że popełniłem straszne głupstwo.

— Zobaczymy! — mruknął Lemonnier.

III. OCZEKIWANIE.

Nad Nantes zapadał wieczór, łagodny i bezbarwny, wieczór melancholji, wspomnień i cichego skupienia.

Przez cały dzień, nad miastem wisiały ciężkie chmury, brzemienne ulewą, zanurzając przedmioty i ludzi w gęstej i miękkiej mgle.

Smutna niedziela!

Janka spędziła ją w ubogiem mieszkaniu, w wysokim i czarnym domu przy starej ulicy de la Boucherie, gdzie mieszkała wraz z babką.

Zajmowały tam na trzeciem piętrze obszerny lokal, o pokojach dużych i wysokich i wąskich oknach, wychodzących na czworokątny dziedziniec, pod arkadami, których stare kolumny z nantyjskiego kamienia były dobrze nadgryzione zębem czasu.

Ponad dach, o silnie zaznaczonej pochyłości, tu i owdzie porośniętej zielonym mchem wystrzelała w niebo wieża kościoła i czarny krzyż odcinał się wśród przedwieczornej jasności.

Janka owinięta w miękki biały szlafrok, z kolanami przykrytemi pledem, marzyła, mając przed oczyma surowy codzienny widok.

Sześć tygodni upłynęło od owej tragicznej nocy, kiedy poświęciwszy swe młode życie dla uratowania planów „Kormorana", rzuciła się do walki z ogniem. Po spędzeniu trzech tygodni w klinice, powróciła do starego domu, w którym od śmierci ojca życie jej upływało w ubóstwie, zapomnieniu, ciszy i pracy.

Obie kobiety były w dzielnicy tej otaczane ogólnym szacunkiem. Były uprzejme, proste, dobroczynne, o ile pozwalało im na to ich ubóstwo, albowiem pensyjka przysługująca Jance i jej babce była niewielka i miała zmniejszyć się jeszcze, z chwilą dojścia dziewczyny do pełnoletności.

Mieszkańcy tej dzielnicy byli osebli i brutalni, a w soboty, w dniu wypłaty, ulice rozbrzmiewały często krzykami, wymysłami i ordynarnemi, pijackiemi awanturami.

(d. c. n.).

---

tą, jak wiesz, bardzo lubię, jakoś mi obrzydła. Zośka i ja *mierzyłyśmy się w pasie*. Ale mała jakaś różnica. Dwa milimetry, czy coś takiego...

22.I.

Wczoraj na spacerze zrobił na mnie wielkie wrażenie wielki afisz na kiosku ogłoszeniowym. Na Zosi też. Jakaś „smakowita" reklama. Kakao, czy coś takiego. Różana buźka zapija dymiący specjał z wielkiej filiżanki. Obie z Zośką odwróciłyśmy oczy. Strasznie nam się jeść zachciało. Przy podwieczorku było bardzo przykro nie pić kakao. Panna Joanna spytała zdumiona, czemu nic nie jemy. Czyśmy nie chore przypadkiem... Jakoś wykręciłyśmy się bólem głowy... Zapewne, że to źle *nie mieć* apetytu, ale stokroć jest przykszej, gdy się go *ma*, a nie je z przyczyn natury estetycznej (...smukła linja...)

23.I.

Któryż to dzień dzisiaj? Jestem zielona. Tego wcale nie chciałam. Zośce wyskoczyła jakaś krosta na nosie. Pani doktorka powiedziała, że to na tle „złej przemiany materji".

24.I.

Moja kochana Janko!

Co tam słychać w domu? Co mama daje Ci na śniadanie? Czy zawsze są u państwa rano te pyszne, kruche rogale? Ciekawam, czy jak przyjadę na Święta, mama zrobi znowu te mazurki z migdałowym, karbowanym brzegiem? A pamiętasz fawork i u panny Julci, tej co to mieszkała nad apteką? A pączki domowe u doktorowej? Co? To było „coś"! Prawda? Napisz [illegible]

[illegible]

26.I.

Kochana Janko!

Wszystko szczęśliwie skończone! Wczoraj wróciła pani przełożona. Pytała Zosi i mnie, czemuśmy tak pobladły. Słyszałyśmy też, jak mówiła pannie Annie — że może jesteśmy przepracowane — więc żeby nas nie obarczać żadnemi dodatkowemi zajęciami (Poczciwa!) Było nam trochę wstyd, bo właśnie w czasie jej nieobecności leniuchowałyśmy obrzydliwie i wszystko szło, jak po grudzie. Wieczorem, przy kolacji spojrzała w naszą stronę i spytała zdumiona:

— Czemu nic nie jecie?

A były właśnie pierożki z kapustą — takie, jakie ja najlepiej lubię. I wiesz — to było bardzo głupie, ale taka byłam wydenerwowana i wymęczona tą „dziurą w brzuchu", że się rozbeczałam, jak warjatka. Zośka też. Pani przełożona zerwała się od stołu. Podbiegła do nas.

— Co się stało? Na miły Bóg! Dziewczęta!

Wtedy gruba Krystyna odezwała się zza stołu (ona zawsze wszystko musi wiedzieć!):

— To te sylwetki!

— Jakie sylwetki? Co to znaczy!?

Głos pani przełożonej był taki przerażony i poczciwy, taki jakiś macierzyński, żeśmy z Zośką wszystko „wybeczały", co i jak.

No i co powiesz! Pani przełożona przyprowadziła panią lekarkę, która rzeczowo, „po fachowemu" wyklarowała nam, żeśmy postępowały... no, jak idjotki.

Niszczyłyśmy sobie żołądki, nerwy — jednem słowem — wszystko, co w naszych organizmach siedzi. Okazuje się, że Zosina krosta na nosie — z tego też pochodzi. No i napewno gdybyśmy jeszcze dłużej tak nic nie jadły, to i uczyć byśmy się nie mogły, i zostałybyśmy choremi histeryczkami. Wszystko racja.

A już urody to nam to głodowanie bez sensu nie dodało! Zosi cera się zepsuła, ja zzieleniałam, a ta „sylwetka" co miała być „żurnalowa", to zdaje się całkiem nie zmieniła. Ech, co tam! Wolę być taka, jak jestem, niż chora, zła, zielona i „do niczego"!

No i moja droga: *nie jestem już głodna*. Dostałyśmy na kolację (doskonałą!) kaszkę, żeby się odrazu nie opchać pierogami. Tak mi jakoś wesoło... Dziś dzień zaczął się od pacierza i śniadania i jest całkiem do poprzednich niepodobny. Byłyśmy na mieście. Zosia kupiła śliczny beret „z czubkiem" (kosztował tylko jeden złoty!). Słońce świeci. Śnieg jest zupełnie srebrny. Strasznie lubię zimę! Dzieciaki Walentego biegają po podwórzu. Naprawdę pysznie mi tutaj!

Napisz tylko, co słychać u Ciebie. Do Mamy napisałam długi list. Kłaniaj się Swoim rodzicom odemnie.

Całuję Cię bardzo serdecznie

Twoja Kazia.

28.I.

Kochana Janko!

Okazuje się, że „modele" w żurnalach są stylizowane. Ta pani na obrazku w „Elegantce" to ma tułów, którego długość jest 12-cie razy taka, jak długość głowy! *Tak* napewnobym nie wyglądała nawet gdybym nie jadła przez trzy miesiące!

Kazia

SPORT







Królowa lodu.

Już jako mała dziewczynka straciła ojca. Matka Zosi ze wszystkich siły walczyć musiała o byt dla siebie i dla swojej małej córeczki. O kupieniu łyżew mowy nawet być nie mogło, a Zosia chciała się ślizgać za wszelką cenę. Poradziła sobie na swój sposób. Wymykała się z domu nad Wisłę, z grubym drutem w kieszeni. Nad brzegiem rzeki kunsztownym sposobem przymocowywała drut pod bucikami i w ten sposób zapoznała się poraz pierwszy z rozkoszami łyżwiarstwa.

Po roku ślizgania się na drucie, które wymagało swoistej i niebylejakiej techniki, Zosia jakimś cudownym sposobem zdobyła prawdziwe łyżwy. W łyżwach mogła się już pokazać na publicznej ślizgawce i na ten cel wydawała wszystkie swoje drobne oszczędności, spędzając wszystkie wolne chwile w „Dolinie Szwajcarskiej".

Wielkie zamiłowanie do jazdy szybkiej miała we krwi, to też lekceważąc sobie wykwintną sztukę „holendrowania", z zapałem ścigała się z rówieśnikami.

Kiedy Warszawskie Tow. Łyżwiarskie zorganizowało w 1925 roku sobotnie wyścigi dla młodzieży, 15-letnia Zosia z entuzjazmem przyjęła tę inowację, i nie opuściła żadnej okazji do zmierzenia swoich sił w „prawdziwych" zawodach. Zwycięża zawsze, a za nieprzerwane pasmo swoich drobnych sukcesów zostaje obdarzona pierwszym w życiu żetonem.

Następnej zimy Zosia ma już swoje sportowe ambicje i w dalszym ciągu wszystkie zwycięstwa w wyścigach dla dziewcząt, stają się jej łupem. Na takich to szkolnych zawodach spotkała się kiedyś w finale z panną Lewi-Lasotą. Od startu Zosia prowadzi pewnie, jednak na ostatnich 200-tu metrach przewraca się, a Lasota ją wyprzedza. Zosia nie rezygnuje ze zwycięstwa, podnosi się i brawurowym pędem dogania swoją współzawodniczkę, by na samej taśmie minąć ją o parę centymetrów.

Starterem tych dziewczęcych zawodów był wówczas p. Nehring, jeden z najlepszych w swoim czasie łyżwiarzy polskich. Pan Nehring ze zdumieniem obserwował ambicję młodej dziewczyny i jej niewątpliwy talent, jaki wykazała w zaciekłej walce na finiszu. Postanowił zająć się losem młodziutkiej Zosi, jakby przeczuwając, że za lat kilka zostanie ona rekordzistką świata.

Opieka przyszła w samą porę. Okazało się, że matka Zosi ani słyszeć nie chce o łyżwach: boi się, że to może córeczce zaszkodzić i wkońcu zabrania jej jeździć kategorycznie. Kiedy Zosia wracała ze ślizgawki... „za karę" nie dostawała kolacji. Pan Nehring starał się jakoś mamę przekonać i powoli dopiął swego, przez całe lato prowadząc zaprawę gimnastyczną swojej pupilki. Czuła opieka przeszła wkońcu w głębokie uczucie i oto w pół roku potem, siedemnastoletnia Zosia jest już panią Nehringową.

Ślub odbył się późną jesienią, a już z nastaniem pierwszych mrozów Zosia zabiera się do treningu na „prawdziwych", wyścigowych terenach. Rezultaty racjonalnego treningu nie każą na siebie długo czekać. Już w styczniu następnego roku ustanawia nowe rekordy polskie na 500, 1000, 1500 i 3000 metrów.

W trzy lata później, pani Nehringowa, już jako szczęśliwa matka dwóch małych dzieciątek, staje do pierwszych zawodów o mistrzostwo polski dla kobiet. Zwycięża na wszystkich dystansach, a jej znakomite rezultaty zostają uznane przez Międzynarodowy Związek Łyżwiarski za nowe rekordy świata.

Nazwisko Polki staje się znane na całym świecie, a w roku ubiegłym Szwajcarzy zapraszają Nehringową na zawody o mistrzostwo Europy do Davos. Na tych zawodach zjawiają się jeszcze dwie kobiety — austrjaczka Landberg i holenderka Taconis, obie sławne w swoich ojczyznach. Wolały jednak nie spotkać się z polką i zamiast stanąć do mistrzostw, urządziły mecz między sobą, niedopuszczając do tej walki Nehringową.

Nasza mistrzyni zmuszona więc była do wspólnych startów z mężczyznami. Na 1000,



1500 i 3000 mtr. poprawia raz jeszcze swoje rekordy (2 m. 1,4 sek., 3 m. 10,4 sek. i 6 min. 39,2 sek.). Na 500 mtr. dostąpiła wielkiego zaszczytu: startowała w jednym biegu z Finlandczykiem Thunbergiem, wielokrotnym mistrzem świata. Nehringowa trzymała się znakomicie, niewiele mu tylko stosunkowo ustępując. Na ostatniej prostej pada jednak nieszczęśliwie, grzebiąc swoje nadzieje na nowy, wspaniały rekord świata. W międzyczasie holenderka i austrjaczka toczyły walkę między sobą i wydarły naszej rodaczce rekord na 500 mtr., osiągając czas 58,1 sek. Gdyby Nehringowa ukończyła szczęśliwie swój bieg z Thunbergiem, to zdaniem znawców mogła była osiągnąć czas około 52—53 sekund, który dla innych kobiet jest zupełnie niedostępny.

Wspaniałe wyniki Nehringowej uczciła publiczność z entuzjazmem. Powinszowaniom nie było końca, a po każdym nowym rekordzie stojące tłumy 11 tysięcy widzów z odkrytą głową wysłuchiwały Mazurka Dąbrowskiego.

Obecnie Nehringowa przystąpiła znowu do treningu i stara się wpoić sobie nowe tajniki kunsztu łyżwiarskiego, których poznanie zawdzięcza uprzejmości mistrza Thunberga. Niestety, kapryśna polska zima nie pozwala jej na racjonalny i systematyczny trening, to też w przyszłym roku ma się wybrać z mężem do Wiednia, aby tam trenować na sztucznem lodowisku i jeszcze bardziej poprawić swoje rekordy.

Za miesiąc Nehringowa jedzie wraz z innymi polskimi łyżwiarzami na mistrzostwa słowiańskie w łyżwiarstwie do Morawskiej Ostrawy (Czechy). Jeśli w tym krótkim czasie zdoła powrócić do swej zeszłorocznej formy, to możemy się o honor barw polskich nie obawiać.

Nietylko jednak łyżwiarstwo uprawia pani Zofja. Świetnie pływa i wiosłuje, jeździ na nartach i na rowerze, a prócz tego jest jeszcze zamiłowaną taterniczką. Na wszystko znajduje czas, bo jest pełna życia i energji.

Pani Nehringowa ma dzisiaj 22 lata, a wygląda najwyżej na 18-cie, choć jest już matką dwojga dzieci. Jej zdrowy, kwitnący wygląd jest najlepszem zaprzeczeniem tego, co mówią przeciwnicy sportu — sport daje jej siły i konserwuje młodość. Nie zmogły jej trudy wychowania dzieci, nieprzespane noce i ciągła troska o ich zdrowie; potrafiła świetnie połączyć obowiązki matki z treningiem mistrzyni świata. Czteroletnia Halinka i trzyletni Jacek z zapałem poszli w ślady matki: ślizgają się już znakomicie, a kolację dostają... podwójną.

W. T.



10-letnia łyżwiarka wiedeńska w jeździe sztucznej popisywała się w stroju krakowskim. B. to dla nas miłe, ale wygląda trochę dziwnie na...

FUNDUSZE SAMORZĄDU

Kryzys... Paskudne słowo! Człowiek, któryby je usunął ze słownika wszystkich języków, zasłużyłby sobie na wieczno - trwały pomnik. Ale cóż? Wszyscy się ograniczają i chudną, a kryzys? Miejmy nadzieję, że też schudnie lada chwila. W samorządzie tymczasem płata figle wcale nieprzystojne, osuszając i tak niezbyt obfite źródła dochodów.

Stan kas samorządowych najlepiej charakteryzuje rozmowa, jaką miałem niedawno ze skarbniczką jednego z samorządów:

Jak tam fundusze? — pytam.

— Kiepsko!

Składki?

Nie opłacone.

— Dział spożywczy w sklepiku?

Ledwie dyszy. Nawet „serca czekoladowe" nie mają popytu.

Dział materjałów piśmiennych?

Kuleje! Przecież na ulicy można dostać bruljony... „trzy za złoty, trzy za złoty, trzy za złoty!", jak o tem wykrzykują sprzedawcy.

Jednem słowem — niewesoło!

Nie było jednak na świecie tak ciężkich czasów, by ludzkość popadła aż w takie odrętwienie, żeby się przestała bawić. Każdy człowiek zdrowy — a cóż dopiero zdrowy i młody równocześnie — ma wrodzony pęd do zabawy i wyładowania swych sił w sposób wesoły w miłem towarzystwie.

Jest już karnawał. Już zapewne myślicie o tem, jak się ubrać, kiedy i na jakim wieczorku potańczyć. Działaczki z samorządu napewno obliczają przytem, ile uda się zarobić na tej chęci ludzi do zabawy. Napewno!.. Bo takie już są te społecznice, że zawsze tylko myślą o zarobku, o dochodach swojej instytucji.

Wiele oczywiście z zabaw nie będzie. Ceny bowiem biletów, szatni i bufetowe muszą się zastosować do wielmożnego, choć wstrętnego kryzysu. W każdym razie jaki taki fundusik się zbierze... A przedstawienie amatorskie? Jakże je można urozmaicić.

No, a o wydatki to już nietrudno! Marzy się o jakichś dalszych wycieczkach przy końcu roku szkolnego, o powiększeniu uczniowskiego sklepiku, o tem i o tamtem... Niedawno jedna z Waszych koleżanek rzuciła myśl wcale dobrą i zdrową, by sklepik szkolny załatwiał kupno i sprzedaż starych podręczników. Zyskałyby na tem i kupujące i sprzedające, boć przecież sklepik przy pośrednictwie zadowolniłby się mniejszemi zyskami niż antykwarnie.

Pomyślcie o tem!

Nawet i nowe książki możnaby w naszym sklepiku sprzedawać. Napewno księgarnie lub wydawcy przy kupnie większej ilości podręczników daliby pewien rabat, któryby wszedł do dochodów samorządu.

Jeśliby zaś która kasa samorządowa była w takiem szczęśliwem położeniu, że miałaby nadmiar pieniędzy, to mogłaby się przyczynić do obdarzenia ciepłą odzieżą i bucikami tych rzesz dzieci bezrobotnych i biedaków wiejskich, które pozbawione są szkoły z tej prostej przyczyny, że jest im za zimno, by mogły uczęszczać na lekcje. Chcielibyśmy coś wiedzieć o waszych kłopotach i radościach społecznych — może napiszecie do nas w tej sprawie. W dalszych numerach postaramy się udzielić wskazówek organizacyjnych.

J. Waśniewski.



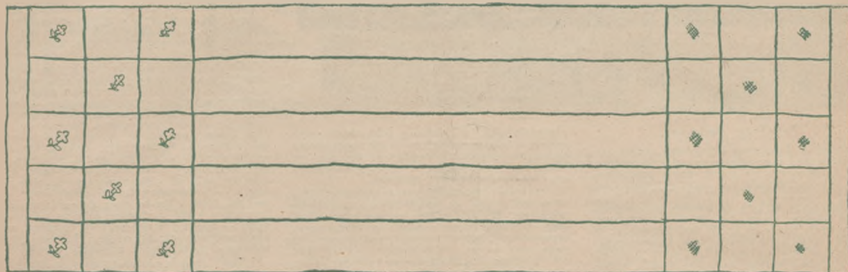
1. Skromna wełniana sukienka z kontrafałdą zprzodu. Pasek skórzany. Bluzeczka z płótna jedwabnego wkładana osobno. Kołnierzyk podwójny, wiązany na kokardę w kolorze sukni. Doskonały model na zużycie starej sukienki, w której rękawy zostały zniszczone.

2. Bluzka z wełenki lub flanelki w pasy, spięta na guziki, przybrana kieszeniami. Spódniczka z kontrafałdą, karczkiem i zapinanemi kieszeniami.

3. Bluzka z woalu lub crepe de chine'u z odciętym karczkiem, zapiętym na guziki. Kołnierzyk z kokardą, fantazyjne mankieciki, spódniczka w kratę do cieniu z wysokim gorsecikiem.

4. Bluzka z wełny w kratę, zapięta na guziki. Mankiety i kołnierzyk z tego samego materjału co i spódniczka, lekko kloszowa, odcięta po bokach.

ROBOTY RĘCZNE





Laufer i torebka.

Podajemy wzór laufra i torebki do grzebieni na stolik toaletowy. Mozna je wykonać z płótna szarego z kolorowym haftem lub, co jest ładne przy bardzo ciemnem płótnie — białym. Można też użyć do roboty białego płótna i ozdobić albo kolorowym haftem, albo białym. Trzecią możliwością będzie kolorowe płótno z haftem białym lub czarnym.

Technika wykonania, to mereżki (oznaczone linjami) i atlasek w motywie kwiatka, a w drugim motywie siateczka i gałązka. Przy tym motywie po lewej stronie będą zaledwie małe ściegi, jak stebnówka.

Zamiast mereżki można zastosować szybszy sposób zaznaczenia podziału na kwadraty, a mianowicie wyciągnąć po jednej nitce w odpowiednich odstępach i linje wyszyć stebnówką. W tym wypadku należy używać bardzo błyszczącej bawełny.

Torebka na grzebienie podszyta jest podszewką cała lub tylko klapa zamykająca, co pozwala na nierobienie grubych obrębów z boku. Zdobimy tylko klapę koperty, druga strona pozostaje gładka.

Koperta zapinana jest na rogach na guziki, które musimy wykonać z tych samych nici, jakiemi wyszywamy wzór. Gałązkę kwiatka wykonamy łańcuszkiem.

Jeżeli potrzebna nam serweta kwadratowa, możemy zastosować ten sam wzór, dając np. ze wszystkich stron po 4 linje mereżki, co utworzy trzy pasy, albo 3 linje dla otrzymania dwóch pasów. Kwadraty będą się tworzyły wtedy tylko w tych miejscach, gdzie krzyżują się mereżki, t. j. na rogach.

Na laufrze wielkość kwadratu będzie zależała od szerokości płótna no i stolika. Ludowe płótno ma najwyżej 70 cm. szerokości i to nam wystarczy. Wtedy bok kwadratu będzie jakieś 14 cm. Przy serwecie kwadratowej większej będziemy się już posilkowali płótnem do robót fabrycznem, które jest szersze i nie trzeba go sztukować. Rozmierzając odstępy mereżek będziemy się starali tak skomponować całość, aby bok pustego kwadratu pośrodku był albo wyraźnie węższy, albo szerszy od miejsca zajętego przez pasy mereżek z boku, żeby uniknąć podziału całości na równe części. Przy podanej wielkości motywu kwiatka szerokość pasa zawartego między dwiema linjami mereżek może się wahać od 12,5 do 15 cm.

J. Ł.

ZOSIA I DŻOKI









1. *Maszeruje dzielna Zocha, lecz opada jej pończocha.*

2. *Łobuz z śmiechem jej urąga: „Co to? Wiatr pończochę ściąga?"*

3. *Płacze Zosia, co sił starczy — Dżoki sroży się i warczy.*

4. *— Chap! Podarte masz ubranie, boś naśmiewał się z mej pani!*

CO MOGĘ ZROBIĆ SAMA

Przybory toaletowe.

Dążenie do urządzenia oddzielnego stolika toaletowego i skompletowania różnych pokrowców i neseserów, nie będzie żadną próżnością, lecz dobrem zrozumieniem zasad porządku i higjeny.

Zacznijmy od tego, że musimy mieć własne, przez nikogo więcej nie używane przybory: szczotkę do zębów (to każdy wie) i kubek, grzebienie i szczotkę do włosów (na to już nie zawsze między rodzeństwem zwraca się uwagę), gąbkę, czy szorstką rękawicę do mycia, ręcznik. Wspólne używanie tych przedmiotów przyczynia się do przenoszenia chorób skóry i włosów, czasem mniej a czasem więcej dokuczliwych, a wspólny ręcznik do twarzy może być źródłem zarażenia bardzo przykrą i uporczywą, a w wypadkach zaniedbania i bardzo niebezpieczną chorobą oczu — jaglicą.

Nie wystarczy jednak mieć własny grzebień i szczotkę. Trzeba je również trzymać oddzielnie, nie we wspólnem pudełku, czy kopercie. Tu właśnie zaczyna się nasza praca nad higjenicznem utrzymaniem przyborów toaletowych, a zarazem nad ich porządnym i estetycznym wyglądem.

Szczotka do zębów powinna wyschnąć między jednem a drugiem użyciem, dlatego nie należy jej przez niedbalstwo zostawiać w kubku z resztą wody, lecz otrząsnąć z wilgoci i wstawić w kubek rączką w dół, aby szczecina schła swobodnie. Kubek po każdem użyciu wypłókać z kredy lub pasty, która osiada na brzegach, gdyż po wyschnięciu wygląda to niechlujnie.

Rękawica do mycia, czy gąbka również powinny wysychać między jednem użyciem a drugiem. Dlatego powinny być dokładnie wypłókane z brudu i mydła, wyciśnięte i powieszone w suchem, przewiewnem miejscu. To samo tyczy się ręcznika, tylko bez płókania.

Na grzebienie (zwykły i gęsty) i szczotkę przeznaczamy albo: 1) małą szufladkę (jeśli jest odpowiednia), którą wykładamy czystym papierem; 2) pudełko; 3) kopertę płócienną. Pudełko nie powinno być trudne do wyczyszczenia, najlepsze zaś będzie takie, które można umyć. Z tego punktu widzenia nie nadają się pudełka z materjału ani z kolorowej rafji. Białą rafję można byłoby wprawdzie myć, ale napewno nie będzie nam się chciało często tego czynić — w takim razie pamiętajmy o wykładaniu pudełka czystym pergaminowym papierem.

O wiele praktyczniejsza i higjeniczniejsza od wszelkich pudełek będzie zwyczajna koperta płócienna. Wiejskie płótno ze względu na gęstość i sztywność jest zupełnie wystarczającym materjałem. Haftów na nim radziłabym nie umieszczać wcale, lub jaknajmniej, i to takie, żeby nitki po drugiej stronie nie tworzyły zbiorników dla brudu, ani pętli do zaczepiania i wogóle nie wyglądały brzydko, gdyż przy otwieraniu koperty lewa strona będzie widoczna (chyba, że ją podszyjemy). Można natomiast wykorzystać płótno farbowane, tylko ze względu na konieczność częstego prania, trwalsze będą kolory farbowane na gorąco, przez gotowanie. Jeżeli jednak nie będziemy łączyli płótna kolorowego z białem, ani zdobili go haftem w innym kolorze, to możemy użyć płótna farbowanego na zimno, a po wyblaknięciu, czy wypraniu koloru, całą kopertę ufarbować na nowo. Kopert takich, których wielkość będzie zależała od wielkości grzebienia i szczotki, trzeba mieć conajmniej dwie. Gdy myjemy głowę, myjemy jednocześnie w letniej wodzie z amonjakiem lub zwykłą sodą przybory do czesania i po wyschnięciu kładziemy w czystą kopertę.

O ile nie projektujemy zrobienia neseseru mieszczącego wszystkie toaletowe przybory razem, koperta taka służyć będzie doskonale jako opakowanie podróżne.

Zato gąbka czy rękawica, ręcznik i szczotka do rąk muszą mieć specjalne opakowanie na drogę, trzeba się bowiem liczyć z tą ewentualnością, że nie zdążymy ich wysuszyć przed włożeniem do walizki, aby nie moczyły sąsiadujących z niemi przedmiotów. Niestety, najlepsze są woreczki gotowe. Są one zrobione ze specjalnej tkaniny gumowanej, po wierzchu jest barwny kreton, po lewej stronie miękka guma. Tkanin takich na metry dostać nie można. Możemy conajwyżej jakiś kreton podszyć ceratką, używaną do kompresów, albo cienką gumą, ale to ostatnie nie będzie trwałe. Możnaby zrobić próbę, czy materjał nie da się podkleić ceratką kompresową (przezroczystą), czy cienką gumą, przy pomocy kleju od rowerowych gum. Nie próbowałam tego jeszcze, ale może któraś z Czytelniczek, która ma klej rowerowy w domu, posmaruje nim niewielki kawałek kretonu i szybko przyklei ceratkę. A o rezultacie napisze do Redakcji — może okaże się żeśmy nic nie wymyśliły, a może wymyśliłyśmy rzecz, która się przyda.

Co do ilości woreczków, to uważam, że najważniejsze są dwa: na gąbkę czy rękawicę i na ręcznik. Szczotkę do rąk można tak dobrze otrząsnąć z wody i wytrzeć ręcznikiem, że można ją razem z puszką od mydła schować do woreczka ze zwykłego płótna. Szczotkę do zębów musimy umieścić w futerale celuloidowym lub szklanym. Szklany jest cięższy, ale zato można w niego włożyć jeszcze tubkę i pastę. Na wycieczki, kiedy przedewszystkiem dbamy o to, aby nie dodawać ciężaru plecakowi, który niesiemy — wybierzemy futerał celuloidowy. Do walizki, którą tylko od czasu do czasu niesiemy w ręku, a która przeważnie leży na półce wagonu — możemy wziąć szklany. Kupimy więc ten przedmiot zależnie od tego, którego z tych sposobów podróżowania używamy częściej.

Nigdy jednak nie podróżujmy z przyborami toaletowemi nie schowanemi w woreczkach tylko utkniętemi byle jak między rzeczy w walizce, czy plecaku. Często bowiem w ciągu lata walizka służy nam za komodę i wtedy wałęsanie się drobnych przedmiotów wytwarza chaos, utrudniający znalezienie czegokolwiek, a z plecakiem zdarza się, że po przybyciu na określony punkt, trzeba z niego wyrzucić rzeczy i pójść po prowiant, czy gałązki na posłanie. Wtedy stos wyrzuconych rzeczy, z którego na wszystkie strony uciekają szczoteczki do zębów, rąk, butów, szpulki nici, agrafki, chusteczki do nosa i t. p. — tworzy żałosne widowisko. Ale o pakowaniu plecaka pomówimy jeszcze kiedyindziej. Narazie wróćmy jeszcze do sprawy neseseru. Obmyślałam go tak, żeby mógł służyć do plecaka na wycieczki, ale jeżeli nie dbając o kilka gramów wagi więcej na płótno, użyte dla sztywności, damy jakiś barwny materjał, lub wyhaftujemy jakiś wzór — będziemy mieli zupełnie elegancką całość. O neseserze tym pomówimy następnym razem. Właśnie przygotowuję jego rysunek.

Wracając do całości stolika toaletowego, musimy pomyśleć jeszcze o przykrywającej go serwetce. Najładniej będzie, jeśli serwetka będzie tworzyła komplet z torebką na grzebienie. Może być z płótna białego, szarego lub kolorowego. Kształt będzie zależał od stolika. Jeśli stolik ma szufladę, przykrywamy go laufrem, spadającym na boki, tak aby szuflada była zupełnie nie zasłonięta. Jeżeli szuflady niema, serwetka może zwieszać się dowolnie.

J. Ladzianka.



Jasnowłosej Hali z Poznania. — Ależ oczywiście, Halu, nie istniejemy wyłącznie dla szkół. Szkoła przecież, to tylko ważny odcinek życia, ale nie całe życie. Te wszystkie, które wyszły ze szkoły i już samodzielnie pracują, czyż nie są osobami godnemi szacunku i trochę nawet podziwu? Opowiadania ze zdarzeń szkolnych, przysyłajcie. Jeśli coś będzie napisane z *talentem* zamieścimy w całości lub urywkach, a czasem w streszczeniu lub w formie krótkiej informacji. Przecież nie chcemy mówić, jak przysłowiowy „dziad do obrazu". Gdybyście się do nas nie odzywały — pomyślcie jak byłoby nam smutno i pusto. Rada — zawsze.

„Jeunesse et Victoire". — Dziecko drogie! „Świat Dziewcząt" nie jest pismem dla „bogatych". Jest dla wszystkich. Czy naprawdę przypuszczasz, że nie zamieścimy np. kącika do nauki w ogólnym pokoju? Już się robi! Właśnie „coś z niczego" jest największą sztuką i wtem będziemy wam pomagać, ile sił starczy. Tak samo z modami — będą i przeróbki i łataniny. Na karnawał trzeba było coś dać na bal — niejedna dziewczynka coś sobie przerabia z mamusi — albo poprostu chce wiedzieć, co się nosi. Pociesz się, że żadna z Redaktorek też nie była na balu! Zresztą zdarza się okropna nuda w wieczorowej sukni i wspaniała zabawa w łatanych mundurkach! Grunt nie poddawać się i wierzyć, że się da radę wszystkiemu. Ubóstwo w pierwszej młodości *nic* nie znaczy. Do wszystkiego można dojść. Pomyśl, ile ludzi w późniejszym wieku straciło wszystko (wojna i t. p.), a też napewno dorobią się na nowo, albo umieją urządzić sobie słoneczne życie przy — żadnych prawie środkach.

Teraz co do klubu „Świata Dziewcząt". Marzymy o tem dniami i nocami — ale tylko Wy możecie nam w tem pomóc. Jeśli dużo, b. dużo polskich dziewcząt będzie czytało nasze pismo, może się ten klub stać naprawdę. Widzisz, dzielna „Victoire" (z patalachami wogóle nie chcemy rozmawiać), kwestja klubu to lokal, światło, koszta administracji i t. p. My jesteśmy b. młodziutkiem pismem — mamy zaledwie niecałe... dwa miesiące istnienia za sobą. Ale wierzymy mocno, że da się to zrobić. Napisz jeszcze do nas. W czem mamy, szczególnie dokuczliwem — poradzić?

Lanci. — Nie masz się o co martwić, Lanciu, że rozwiązałaś jeden rebusik. Może w innych pomogą ci trochę siostry? Dobrze! Pomyślimy o jakimś utworze na przedstawienie. Musisz nam tylko zostawić trochę czasu! *Redakcja.*

CZARODZIEJSKIE PŁÓTNO

CO SĄDZĄ O WSPÓŁCZESNYCH DZIEWCZĘTACH GWIAZDY EKRANU I SCENY

Wywiad z Bodo i Sambem.

Metalowa tabliczka na drzwiach z napisem: *E. Bodo.* Wąski, jasno oświetlony korytarzyk prowadzi do przytulnego, staroświeckiego gabinetu, zawieszonego dywanami, jaskrawemi tkaninami i innemi wschodniemi cudeńkami. Dużo książek, kilka niewielkich obrazków, piękne hafty na stole i staroświeckiej kanapie.

Na tle tego wszystkiego wesoło uśmiechnięta twarz Bodo.

— Wywiad? Dla „Świata Dziewcząt"? Z największą chęcią — musi bowiem pani wiedzieć, że dziewczęta w wieku szkolnym są najlepszymi moimi, najbardziej oddanymi przyjaciółmi.

Dostaję od nich masę listów, miłych, przyjaznych, pocieszają mnie we wszystkich moich smutkach, zasięgają moich rad w wielu okolicznościach życia.

Raz nawet zdarzyło się tak, że dopomogłem pewnej dziewczynce w zdaniu egzaminu. Nie wierzy pani? Sam z początku nie wierzyłem.

A było to tak: pewnego dnia otrzymałem list z prowincji od pewnej uczenicy, znajdującej się w przededniu egzaminu — list z żądaniem dostarczenia dwu fotografij z autografami. Autorka listu groziła mi, w razie nieuwzględnienia jej żądania, najbardziej nieodpowiedzialnemi konsekwencjami w rodzaju obcięcia się i t. d. Zadość uczyniłem owej nader energicznie wyrażonej prośbie, ale tylko w połowie: wysłałem mianowicie jedną fotografję, drugą zaś solennie przyrzekłem dostarczyć po zdaniu egzaminu. Wysłałem i zapomniałem.

Po kilku tygodniach zjawia się u mnie sympatyczna starsza pani, jak okazało się, matka mojej korespondentki i zaczyna mnie obsypywać gorącemi podziękowaniami: „Pan przyczynił się do tego, że moja córka zdała egzamin! bez pana interwencji oblałaby się z całą pewnością!"

Okazało się, że córeczka, której sprawy naukowe były w mocno niepewnem położeniu, po otrzymaniu mojego listu z upomnieniami tak sobie to wzięła do serca, że zabrała się mocno do roboty, no i doskonale jej wszystko poszło. Nie pozostawało mi więc nic innego, jak tylko wręczyć moją najpiękniejszą fotografję wraz z powinszowaniami jej uradowanej mamusi.

— Czy pańskie korespondentki zasięgają także u pana porad w sprawach, dotyczących filmu?

— Przeważnie. Dostaję masę listów z zapytaniami na ten temat. Pewna młoda, ale nader energiczna dwunastoletnia osoba nawet napisała całkiem wyraźnie, nie owijając w bawełnę: „ja chcę zostać być gwiazdą". Otóż młodej tej pannie, jak również innym moim korespondentkom, zwracającym się do mnie z tego rodzaju zapytaniami odpowiadam za łaskawem pośrednictwem „Świata Dziewcząt", — nie mam bowiem możności odpowiedzieć każdej zosobna: — Naprzód nauka i jeszcze raz nauka.

Mówię to opierając się na własnem doświadczeniu — od najmłodszych lat pragnąłem zostać aktorem, rodzice zaś moi nie pozwalali mi nawet o tem mówić, dopóki nie będę miał matury. Bóg im zapłać za to, bo będąc już w teatrze przekonałem się, jak wiele dla nowoczesnego aktora znaczy pewien niezbędny dla każdego inteligentnego człowieka zasób wykształcenia.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć cokolwiek o dzisiejszych dziewczętach? Czy bardzo się różnią od tych z pańskich czasów gimnazjalnych?

Bodo uśmiecha się z pewnem zażenowaniem.

— Hm, widzi pani dość trudno mi coś o tem powiedzieć. Za moich czasów szkolnych bardzo mało stykałem się z moimi rówieśniczkami, — byłem bardzo nieśmiały, tak jak dziś zresztą, na wieczorki nie chodziłem, w klasy nie grałem, w klipę nie grałem, w orzeszki nie grałem, w karty nie grałem, stalówkami nie handlowałem, nie paliłem, na wagary owszem chodziłem i to też tylko dla towarzystwa.

Co się zaś tyczy dzisiejszych dziewcząt — mam bardzo staroświeckie poglądy.

Dla mnie młoda dziewczyna, tak samo zresztą, jak każdy inny człowiek, powinna składać się z wszystkiego potrosze.

A więc powinna i w tenisa zagrać i zatańczyć, czasem też w domu posiedzieć, książkę poczytać, zająć się gospodarstwem, by umiała w swoim czasie zacerować parę pończoch (uwaga! dział gospodarski), a przedewszystkiem nie powinna z siebie robić rozwrzeszczanego chłopaka, musi zawsze o tem pamiętać, by być miłą, naturalną i kobiecą, wesołą, prostą i pogodną. Może nawet nie być ładną, opisywane powyżej zalety są ważniejsze dla mnie od szybko znikającej lalkowatej urody.

Wtem za drzwiami słychać skrobanie — klamka podnosi się i do pokoju wkracza we własnej osobie Sambo, kochany piesek, ulubieniec całej Warszawy. Jest taki ogromny, że przewyższa o wiele swego pana, gdy opiera łapy o jego ramiona i okrywa twarz tysiącem pocałunków. Pan i pies uwielbiają się. Biedny Sambo ostatnio był chory i przez dwa tygodnie leżał w lecznicy, tęsknił tam za swym panem do tego stopnia, że przez cały ten czas nic nie chciał jeść — musiał go więc Bodo czemprędzej sprowadzić do domu.

Scena przywitania była rozczulająca. Bodo i Sambo leżeli na podłodze — okrywali się pocałunkami i płakali z radości. Po dziś dzień Sambo nie może uwierzyć swemu szczęściu — nareszcie jest w domu, przy swoim ukochanym panu.

Sambo jest niesłychanie towarzyski. Bardzo lubi kobiety, które dobrze gotują i nie obchodzą się z nim, jak z małym kociakiem, posiadają umiejętność szybkiego biegania, mocne nerwy i stale wesoły humor. Podług mniemania Sambo nie powinno młode dziewczę przejmować się drobiazgami w rodzaju podartej w czasie zabawy z nim sukienki, lub też leciutko capniętej łydki, przedewszystkiem zaś powinno zawsze być gotowem do zabawy.



Bodo i Sambo mieszkają w małem przytulnem mieszkanku, gdzie roztacza nad nimi troskliwą opiekę mama Body.

Bodo jest kochanym i nadzwyczaj przykładnym synem, nie rozstaje się ze swoją mamusią — towarzyszyła mu nawet w podróży do Afryki. Podczas nagrywania przynosi mu obiad do wytwórni, przyczem Bodo musi wszystko zjeść, „do końca".

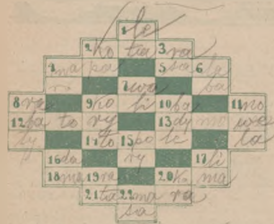
Czas już pożegnać miłego Boda. Odchodzę, unosząc z sobą bardzo wiele serdecznych życzeń dla „Świata Dziewcząt" i dziewcząt od Bodo i Samba.

Molly.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

KTO TO ROZWIĄŻE?

12 KRZYŻÓWKA SYLABOWA.



Znaczenie wyrazów:

Poziome: 2. Zasłona. 4. Karta geograficzna. 5. Duży pokój. 9 Rodzaj małej chatki. 12. Król polski. 13. Podatek od mieszkania (podymne). 14. Drzewa. 18. Zjawa, widmo. 20. Rzeka w Rosji. 21. Rosyjskie imię żeńskie.

Pionowe: 1. Rzeka zapomnienia. 2. 60 sztuk—inaczej. 3. Gatunek ludzki — inaczej. 4. Poeta rzymski. 6. Odpoczynek (żartobliwie). 7. Bije, grzmoci. 8. Grządka kwiatowa. 9. Łożysko rzeki. 10. Łodygi zielne. 11. Rodzaj utworu literackiego. 15. Otwory w skórze. 16. Pani. 17 Stolica Peru 19. Część należności. 20. Następstwo winy. 22. Wielka ilość.

Jerzy Bielenia (Warszawa).

13. KWADRAT MAGICZNY.



Sześciany należy poprzestawiać tak, by powstało pięć wyrazów (pięcioliterowych) czytanych jednakowo poziomo i pionowo.

Znaczenie wyrazów:

1. Czyn niegodziwy. 2. Jedna z dziewięciu Muz. 3. Postać z Pisma św. 4. Rodzaj wysp koralowych. 5. Poemat liryczny.

B. Kobrzyński (Trzemieszno).

Za trafne rozwiązanie wszystkich lub jednego z powyższych zadań, Redakcja przeznacza w drodze losowania 3 nagrody książkowe. Termin nadsyłania rozwiązań z niniejszego numeru upływa *dnia 21 lutego 1933 r.*

Rozwiązania należy nadsyłać pod adresem Redakcji, z dopiskiem „Rozrywki Umysłowe".

Można się uśmiać!..

LOTERJA.

W parku na zabawie na cel dobroczynny stoi budka z fantami loteryjnemi. Przed budką jakiś młodzieniec wykrzykuje zachrypłym, lecz pełnym entuzjazmu, głosem:

— Wielka loterja fantowa na cel dobroczynny. Za jedne dwa złote można wygrać auto. Panie, proszę, niech pan kupi los — zwraca się do jakiegoś przyglądającego się jegomościa. — Za dwa złote może pan mieć auto.

Jegomość krzywi się:

— Naco mi auto? Wcale nie chcę mieć auta.

— Panie — odpowiada młodzieniec — niech pan się tak nie boi. Mamy 100'000 losów. Dlaczego akurat pan miałby wygrać auto? Śmiało.

CZAS TO PIENIĄDZ.

Szef: Pan się dziś spóźnił pół godziny!

Urzędnik: Bardzo pana dyrektora przepraszam, ale wychodząc z domu, spadłem ze schodów.

Szef: No, dobrze, ale na to przecież nie potrzeba pół godziny.

TROSKLIWOŚĆ.

Dwaj bandyci czatują w ustronnem miejscu na bogatego kupca, który ma tamtędy przejeżdżać. Mija godzina, dwie, cztery, zaczyna się już ściemniać, a podróżnego nie widać. Bandytów ogarnia niepokój.

— Co to znaczy, że go tak długo niema — szepce wreszcie jeden. — Czy mu się, broń Boże, coś złego nie stało?



Ciasto rumiane bez żółtek.

Wiecie doskonale, że bułki, placki, ciasteczka i pierożki, pieczone w domu, smaruje się jajkiem doskonale rozbitem. Nadaje ono ciastu połysk i rumiany wygląd.

Byłyście pewnie nieraz świadkami kuchennego dramatu: oto zabrakło jajka do posmarowania ciasta. Agatka zapomniała kupić, albo jedno z wziętych do ciasta, było zepsute, albo już zamknęli sklep i dokupić nie było można, albo nie było kilku groszy na dokupienie jajka. Ciasto szło do pieca bez posmarowania i było potem blade i anemiczne.

Otóż powiem Wam, jak poradzić w takim wypadku. Trzeba wziąć łyżkę cukru palonego, dwie łyżki mleka, włożyć do rondelka i zagrzać na ogniu, dopóki się zupełnie nie rozpuści. Ostudzić. Smarować ciasto przed włożeniem do pieca. Daje to śliczną złocisto-bronzową skórkę.

Myślę, że Wasza umiejętność może się nieraz w domu przydać. I wszyscy będą zadowoleni.

Musik cytrynowy.

Nudne i monotonne jest karmienie gości zawsze ciasteczkami, ciastkami lub tortem. Nieprawdaż?

Jeżeli więc chcecie zrobić im miłą niespodziankę, przygotujcie musik cytrynowy według tego przepisu.

Utrzeć trzy żółtka z trzema łyżkami cukru-pudru i sokiem z pół cytryny. Trzeć dopóki nie zbieleje. Jeżeli jest za słodkie, dodać jeszcze soku cytrynowego.

Zagrzać na wolnym ogniu dopóki nie zgęstnieje, jak bardzo gęsta śmietana. Trzeba bezustannie mięszać, żeby nie przywarło do dna i nie zwarzyło się.

Ostudzić, ubijając przez ten czas pianę z pozostałych białek. Ubić sztywno. Bardzo starannie i prędko wymięszać z ostudzonemi żółtkami.

Ponakładać w szklane kompotjerki, albo w maleńkie filiżanki. Ubrać po wierzchu konfiturami, osączonemi dobrze z soku. Podawać natychmiast po wymięszaniu. Musik stać nie może.

Proporcja na trzy osoby.

Warunki prenumeraty: rocznie — zł. 10.— półrocznie — zł. 5.—. kwartalnie — zł. 2.60: miesięcznie — zł. 1.—.
Cena ogłoszeń: strona dzieli się na 4 łamy. Szerokość łamu 54 mm. 1 mm w łamie 60 gr. Cała strona 720.— zł.

Redaktorki: Hanna Januszewska Moszyńska i Wanda Borudzka. Wydawca Tow. Wyd. „BLUSZCZ"
Redakcja i Administracja Solec 87, tel. 244-18 i 787-08. Konto P. K. O. Nr 18.800
Redaktorka przyjmuje w poniedziałki i środy od godz. 11 do 13.
Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz", Sp. z ogr. odp. Warszawa, Solec 87. Tel. 787-03.